Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 17. Września 1876 r. **Tom IV.**

TYGODNIK

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

III.

Potrzeba szkół żeńskich we Lwowie.

Po nad wszystkie niedostatki trapiące stolicę kraju, najwymowniej domaga się zaradzenia złemu stan zakładów naukowych żeńskich. Posiadamy szkoły ludowe, czyli niższe, ale ani jednego zakładu publicznego, któryby dawał średnie i wyższe wykształcenie; istniejące zaś szkoły zakonne i pensjonaty prywatne nie wystarczają potrzebie, bo pierwsze przepełnione, pomieścić nie mogą napływających uczennic, drugie zaś dla uboższych nie przystępne, a z natury swej nie odpowiadające wymogom pedagogiczno-dydaktycznym, o czem już pisaliśmy w „Tygodniu.“ W ostatnich zwłaszcza latach garnąć się zaczęły do szkół dzieci żydowskie tak licznie, iż jak nas wykaz statystyczny zakładu p. p. Benedektynek przekonywa, większa połowa uczennic tej szkoły jest wyznania mojżeszowego. I wzrastająca coraz więcej liczba mieszkańców stolicy i ten właśnie napływ dziatwy żydowskiej, powinne skłonić radę miejską, aby założenie szkół średnich dla dziewcząt, za sprawę piekącą uważała.

Stosunki dzisiejsze społeczne i intelektualne nie pozwalają ograniczać wykształcenia kobiety *ad minimum* elementarnych nauk, jak to dawniej uchodziło; dziś gdy walka o byt coraz trudniejsza, gdy życie coraz cięźej pracować na się każe, już i kobieta z domowego zacisza występować musi do walki o chleb powszedni, już i ona staje w szeregu pracowników. Ileż to córek pomaga dziś rodzicom w utrzymaniu rodziny, ileż z nich same nawet utrzymują rodziny, zdobywszy sobie stanowiska nauczycielek, urzędników pocztowych, telegrafistek i t. d. Gdyby już i to pominąć, toć na to wzgląd mieć należy, że wszystkie zakłady naukowe bardzo utyskują na zaniedbane wychowanie młodzieży. Któż dziatwę wychowuje, jeżeli nie matka, która z nią cały dzień przebywa, która ją wciąż ma na oku i udziela jej swej moralnej i intelektualnej indywidualności, przelewając niejako w dziatwę samą siebie, swe myśli, swe pojęcia, swą wiedzę. Możnaby poniekąd powiedzieć, że jaka matka, takie dzieci. A gdzież kobieta znajdzie sposobność nabycia gruntownego, potrzebnego sobie wykształcenia, jeżeli od drzwi pensjonatu odpycha ją brak funduszów, od furty klasztoru przepełnienie zakładu? Szkoły publicznej nie ma, miasto nie stara się o to, aby wyrastały w niem światłe kobiety, wykształcone, roztropne matki. To też nie ubliżając Lwowiankom, z boleścią zanotować musimy, że nie ma może miasta, w któremby piękna połowa mieszczaństwa tak mało miała intelektualności, jak we Lwowie. Ztąd ten brak zmysłu piękna, szlachetnych pociągów, brak tego pewnego artyzmu kobiecego, właściwego Polkom miast innych. Te niedostatki zastępują jedynie zbytkowną toaletą, ubieraniem się i życiem nad stan i możność. Jakże więc szkoły, szkoły potrzeba!

Domagany się zpolonizowania żydów, niecierpliwimy się, że ten proces językowy tak zwolna się rozwija, a nie czynimy nic, coby go przyspieszyło. Skoro dzieci żydowskie tak skwapliwie garną się do ławek szkolnych, a toż należy na rozcież otwierać im wrota szkolne i szkoły budować czemprędzej, boć to właśnie miejsce, w którem na młodym umyśle zasiewa się ziarno Polaków!

Przed kilku laty poruszano w radzie miejskiej myśl założenia gimnazjum żeńskiego, ale bezskutecznie. Na posiedzeniu d. 7. b. m. ponownie wniósł ten projekt dr. Gerstmann, poparty przez prof. Małeckiego. P. p. Groman i Niemczynowski ze zbyteczne dbałości o fundusze miasta, wystąpieniem swem obalili zbawienny wniosek i zaledwie zdecydowano się na założenie szkoły wydziałowej. Zapewne, że „lepszy rydz jak nic,“ ale uchwała ta bądź co bądź ani miasta nie chroni od zarzutu niedbałości o wykształcenie kobiet, ani potrzebie nie zaradzi. Szkoła wydziałowa jest niczem więcej, jak tylko rozwiniętą, że tak powiemy, zaokrągloną szkołą elementarną, a właśnie szkoły średniej i wyższej niezbędnie tu potrzeba. Wstyd dla Lwowa, że prowincjonalne wyprzedzają go miasta, że już nie mówimy o Krakowie, który od dawna gimnazjum żeńskie posiada, i znakomicie zorganizowany instytut wyższy przy muzeum przemysłowem dr. Baranieckiego.

Odzywamy się więc w imię dobra miasta, w imię dobra publicznego, w imię najważniejszych interesów społecznych, aby ludzie dobrej woli nie zaprzestali kołatać w ratuszu, nie zrażali się obecną obojętnością rady miejskiej — a bezustannie jak widmo Makbeta, stawiali zarządowi miasta przed oczy: opłakany stan intelektualności kobiet we Lwowie, i bezustannie wykazywali potrzebę założenia gimnazjum żeńskiego.

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Wiesz asińdźka co — mawiał często p. Marcin do żony, — gdyby ten poczciwy Żeliga nie był taki jakiś zacny i obudzający poszanowanie, jabym się go obawiał. Ta jucha Achinger ciągle dowodzi, że to być musi jakiś kryminalista. Bo i prawda, po co się tak kryje? zkąd pieniędze? prawdą a Bogiem czy ja wiem, nazywa się on istotnie Żeliga albo nie? nawet familji takiej nie znam nigdzie. Jest w tem licho jakieś, że się z sekretami nosi; że milczy, człowiek czysty nie boi się odkryć z sobą! Jest jakieś licho... słusznie mówi Achinger.

— Ale dajże pokój z tym twoim Achingerem — odpowiadała pani Marcinowa, ten kuternoga rodzonego ojca by posądzał i obgadywał, na kimże on kiedy suchą nitkę zostawił?

— No! to prawda! — bąkał pan Marcin.

— Co nam tam do tajemnic biednego człowieka — dodawała p. Marcinowa, która go bardzo lubiła — sam widzisz kochanie

moje, jaki to dobry człowiek, łagodny, pobożny... juścić nie żaden zbójca i zbrodzień ani wywłoka...

— Ja też tam tego nie mówię, uchowaj Boże — tłumaczył się p. Marcin — ale ten Achinger... ja go o nic nie posądzam, choć po świecie różnie się trafia. Słyszałaś pewnie moja duszko, że sam Bolesław śmiały zabiwszy św. Staniaława, pod obcem nazwiskiem ukrywał się w klasztorze w Ossyaku... kto tu odgadnie, co tam jest na dnie? jak powiada Achinger. (Trzeba wiedzieć, że Achinger miał nieznośny zwyczaj rymowania w rozmowie, co uważał za dowcip i słynął z niego bardzo.)

— Człowiek w grosz zapaśny — dodawał pan Marcin — a bez majątku ziemskiego, stroniący własnego kąta, boć gdzieś swój kąt mieć musi, wzdrygający się mówić o przeszłości.

— Że nie bez kozery obrał sobie to życie, to pewna — szeptała jejmość, ale mój kochany, ty wiesz, jak to między rodzinami bywa, nie wszyscy do siebie podobni, przyjdzie do sporu, zajmie się kłótnia, ludzie się znienawidzą, jeden potem od drugiego ucieka, człowiek sobie i kąt swój i braci obrzydzi.

Odgadywali tak nieraz, silili się. Achinger plotki nosił wszelkie, ale na żaden trop wpaść nie mogli, a gdy Żeliga dostrzegł, że go kuternoga szpiegował, takie mu figle płatał, że się stary kawaler wściekał ze złości. Pan Marcin wszakże codzień na to był obojętniejszym, i za grzech sobie poczytywał potajemnie dochodzić, co gość przed nim z powodów sobie wiadomych, ukrywać musiał. Parę razy i to mu dało do myślenia, że Żeligę po tych wycieczkach zastawał z rana zszedłszy niespodzianie nad jakiemiś papierami, listami, raptularzami, które ten starannie zaraz do szuflady ukrywał. Mimowolnie rzuciwszy okiem na nie, widział pan Marcin na listach świecące jakieś ogromne pieczęcie, na papierach cechy urzędowe, a przynajmniej nie lada jakiej kancelarji. Do jakiego to stopnia drażniło ciekawość, wypowiedzieć trudno. Achinger się zakradał, pod oknami podglądał, nigdy jednak nic nie wypatrzył takiego, coby go na ślad jakiś naprowadzić mogło i głowa mu pękała.

Już i miłość własna przenikliwego człowieka w grze była, upokorzonym się czuł nadaremnemi zachody, zawstydzony i tem, iż Żeliga wcale nań nie uważał, a w rozmowie zbywał go półsłówkami i dwuznacznemi uśmiechy. Przyczyniała się też do rankoru przeciw obcemu, jeszcze jedna okoliczność nie małej wagi.

Rezydowała wówczas na dworze państwa Marcinostwa już od lat kilku krewna samej jejmości, panna Agnieszka Przecińska, niegdyś bardzo majętnych rodziców córka, którzy wszystko stracili przez nieszczęsne pieniactwo. W tym żywocie naszym szlacheckim proces nie zawsze był dla grosza i interesu wiedziony, poczynał się on zwykle od majątkowego sporu, ale kończył walką, w której więcej szło o zwycięstwo, niż o pieniądze. Strony nieraz obie poszły z torbami, ten co wygrał zrujnował się i ten co przegrał, wieś musiał na opłatę rzeczników puścić, ale oba się nie dali do końca. To „nie daj się!“ zapalało do ostateczności a interes szedł na ostatku. Tak właśnie co się stało z rodzicami p. Agnieszki, którzy straciwszy chodząc po trybunałach wioskę ostatnią, ze zgryzoty pomarli. P. Agnieszka, lub jak ją pospoliciej tam zwano Agnusia, była pięknością jakich mało, ale roje pretendentów razem z majątkiem ją opuściły. Z całej spuścizny zostało jej trochę rupieci kosztowniejszych i dziesięć tysięcy złotych. Z tych pobierając prowizję po pięć od sta, miała na trzewiki i sukienki Agnusia, ale nie na zwabienie męża. Żyjąc zresztą u krewnych, którzy ją kochali, nic nie potrzebowała. Zrazu rachowała na swą niezrównaną piękność, i pewną była, że prędko za mąż wyjść potrafi, choć bez wielkiego posagu. Ufała zwłaszcza niejakiemu porucznikowi Trzylateckiemu, który się w niej śmiertelnie kochał, i wiekuistą jej był miłość poprzysiągł, ale ten ją potem opuścił, a tak rok za rokiem osmutniała biedna i wszystkie swe dawne przeżyła nadzieje. Achinger, który zawsze o ożenieniu przemyśliwał, a już pary sobie nigdzie dobrać nie mógł, człek zresztą majętny, bo miał i wioskę porządną i kapitał znaczny u Radziwiłłów ulokowany, za który mu zastawem wioskę dać chciano, rozsądny, niezbyt stary, tylko kuternoga i szpetny, rzucił był wędkę na pannę Agnieszkę. Ta jednak na pierwszą oznakę afektów, zżymała się i tak zakrzyczała, że ani słuchać o tem nie chciała.

— Nic pilnego, poczekamy — mówił w duchu stary kawaler — niech troszynę podwiędnie, będzie tańsza. — I czekał tak spokojny, gdy licho przyniosło Żeligę.

Żeliga nie był zalotnikiem, ani pierwszej młodości człowiekiem, do tego ubogim i pokornym, ale mimo swych lat dojrzałych, mimo ubóstwa, miał wielki urok, zwłaszcza dla niewiast, był niesłychanie miłym i poważnym. Nic tak nie odstrasza kobiety jak szyderstwo, a te co się na dowcip biorą, nie wiele są warte. Achingera bała się panna Agnieszka jak ognia, mimo że ją bawił, śmieszył i pochlebiał: milczący Żeliga ze swą powagą smutną. zaraz się jej podobał. Wcale się on o to nie starał, unikał raczej pozoru nawet jakiego sentymentu, bo w jego położeniu mógłby się narazić na wstyd i przykrość, nie było też nic pomiędzy nim a panną Agnieszką, coby najsurowsze oko obrazić mogło: ale od pierwszych dni zawiązała się przyjaźń wielka. A że najniewinniejsze nawet przywiązanie dwojga ludzi wolnych i niezbyt starych musi dawać do myślenia, państwo Barcińscy nieraz sobie o tem kręcąc głową szeptali.

Żeliga unikał panny Agnieszki, ona go też nie szukała, jakoś się to przecie zawsze tak złożyło, że się niechcący znajdowali. . czasem mimowoli zagadali się zbyt długo, czasem on spojrzał i wzrok jej zawstydzony spotkał, czasem się i on zarumienił obaczywszy ją, koniec końcem hamowane uczucia trzymane na wodzy serca, wyrywały się ku sobie. Oboje wszakże zapewne nie łudzili się wcale, aby te darowane im chwile marzenia u słońca zachodu, miały się kiedy rzeczywistszem szczęściem zakończyć. On nie był młody, a znać przecierpiał wiele, ona zachowała i wielki wdzięk i piękność jeszcze niepospolitą, a powagę pańską królowej; miłość też to była jesienna, dziwna, wstrzemięźliwa, osobliwego rodzaju, tak że nie wiem czy ją tem imieniem nazywać było można.

Kiedy się czasem p. Marcin prześmiewał nieco z Żeligi, on mu odpowiadał spokojnie:

— Ale mój dobrodzieju, chybażeście zapomnieli kto ja jestem... możnaż takie rzeczy przypuszczać!—A gdy pani Marcinowa w cztery oczy badała pannę Agnieszkę, to nie bez rumieńców wypierała się przed nią wszystkiego, przyznając tylko do szacunku.

Ten dziwny dwojga biednych ludzi stosunek tak święty i czysty, że go pewnie żadna myśl nawet namiętniejsza nie pokalała, wcześnie zwrócił uwagę Achingera, i jeszcze w nim większą dla obcego przybyszą obudził nienawiść.

— Ot! czego mu się chce, tej hołocie! widzieliście! panienki! A taki skromny, a taki niewinny... I ona też woli pono jego proste nogi, niż moją krzywą, ale z tego nic nie będzie... Łaska Pana Boga, wygra kuternoga. I mu zedrę tę maskę z twarzy którą się okrywa... ja go obnażę i pokażę.

Ale pokazać mimo usiłowań nie było co i to właśnie bolało p. Achingera.

Postanowił obudzić baczność p. Marcina i rzekł mu wręcz.

— Słuchaj stolniku... niech tam sobie panna Agnieszka ze mną robi co się jej podoba, ale tu o honor domu waszego idzie. Ten przybłęda, włóczęga bez łomu i domu, on panienkę durzy... przypatrzcie no się z bliska... tam coś jest... żeby czasami ślub nie przyszedł zapóźno i z musu, bo tacy poważni ludzie, poważni, mądrzejsi są jeszcze od młokosów.

— Co ty pleciesz kuternogo! — wołał p. Marcin na pół rozgniewany... a toć to Agnieszka to święta...

— Choć święta Agnieszka... a djabeł w niej mieszka! —odpowiedział Achinger— nie darmo kobieta... no! no!

— Ale on i ona Bogu ducha winni, im się nie śni...

— No! no! bodaj się nie śniło... — szeptał Achinger, — dobre ja mam oczy.

I prawda to, że oczy zazdrośnika pierwsze zawsze upatrzą rodzące się uczucie...

Panna Agnieszka jednak, ani Żeliga nie przyznawali się nawet sami przed sobą do miłości, tak im się ona zdawała niepodobną, a mimo to kochali się sami o tem nie wiedząc może. I była to miłość niezwyczajna, spokojna, beznamiętna a niepokonana; więcej miłość ducha i powinowactwo serc, niż burzliwa żądza, którą wybucha młodość. Miała ona wszystkie cechy miłości dziecinnej, przeczucia tęsknoty, jasnowidzenia, które obojgu przychodziły mimowoli i z wielkiem podziwieniem ich własnem. a mimo to i panna Agnieszka wypierała się sama przed sobą kochania, i p. Żeliga wzruszał ramionami, kiedy mu na myśl przyszło, że to ktoś miłością nazwać gotów.

Doświadczeńsi od nich obojga państwo Barcińscy, czasem między sobą rozmawiali, trochę się niepokojąc wreszcie.

— Moja dobrodziejko — mówił pan Marcin, mów ty sobie co chcesz, a to taki między nimi coś jest.

— Ale Agnieszkę przecież znasz i tego człowieka także, nie posądzaj że ich, nie sąć to dzieci.

— Otóż to najgorzej — przerwał pan Marcin — bo w młodości ogień się łatwo zapali i rychło zgaśnie, a w dojrzalszym wieku to rzecz niebezpieczna.

Achinger przypatrywał się zdaleka, a coraz go na Żeligę złość większa brała, ostatnią nadzieję ożenienia odbierał mu ten człowiek. Z tego domu już rugować go niczem nie było podobna, bo się nie tylko gospodarstwo oboje, panna Agnieszka, ale i mała Justysia do niego przywiązała niezmiernie, a Justysia w Barcinie była pierwsze oko w głowie.

Pieszczotka, jedynaczka ukochana, jak aniołek śliczna, Justysia była niepospolitem na wiek swój dziecięciem. Bóg ją obdarzył tak, jak tylko wybranych swoich zwykł uposażać. Co do wdzięku i urody nie zrównała jej żadna rówieśnica, ludzie nawet w kościele stawali się w nią wpatrywać, gdyby w obraz cudowny. Biała była jak lilja, oczy miała ciemno szafirowe jak bławatki, włosy jasno orzechowe, a kształtna jak młoda sarneczka. Rączka, nóżka, wszystko w niej było urody cudownej, tak że patrząc na tę powietrzną istotę, strach brał aby lada powiew nie porwał do nieba, z którego zda się chmurką jakąś spłynęła. Ale niczem to jeszcze było wszystko przy duszyczce tego dziewczęcia, tak czystej, świętej, anielskiej, iż gdy się ozwała czasem, zdumiewali się słuchający słowem z jej ust płynącem. Rodzice ją sami wychowywali, potem trochę matce pomagał Żeliga, najwięcej rozmową lub opowiadaniem przy czytaniu, wychowanie więc to było bardzo proste, jednak Justysia szerzej i więcej widziała niżeli jej pokazywano, jasnowidzenie miała świata, życia, niebios i duchów. Było to prawdziwie cudownem w niej szczególniej dla matki, która słuchając jej rozrzewnienia, często siebie porównywała do kury, która wychowywała młodego łabędzia i łabędź popłynął... a ona u brzegu zostać musiała... Zkąd się w niej myśli te biorą, zkąd ona to bierze co mówi? czy jej aniołowie szepcą we śnie?

Żeliga też słuchał, uśmiechał się, i łzy mu czasem w męskiem oku kręciły się, a gdy dziewczę nadto wysoko myślami wzlatywało, on je sprowadzał zabawką dziecinną na ziemię... i nie dawał bujać w niebiosach do zbytku. Przy tym niezwyczajnym rozumie i wcale nie dziecinnej powadze, Justysia miała prostotę niemowlęcą, wesele aniołka, pokorę zakonnicy. Ukochana przez rodziców kochała ich gorąco, a serce jej tylko też kochać umiało, i nie było istoty, do którejby się nie przywiązała, którejby nie otaczała troskliwością i opieką. Przez nią płynęło wszelkie dobro na wieś i okolicę, ona była tłumaczem biednych, ich pośrednikiem, obrońcą przed rodzicami. Chory, ubogi, obawiający się kary za winę, wszyscy szli do Justysi, i przez nią trafiali do matki i ojca. Był to istotnie anioł opiekuńczy dworu i wioski, a z okolicznych osad i miasteczka, kto tylko ciężką miał sprawę, pewnie do niej pierwszej biegł by mu pomogła. Justysia z uśmiechem, z radością wywiązywała się z tych dobroczynnych poselstw, których co dnia było pełno. Śmiał się z niej czasem pan Marcin, gdy którego dnia milczała i zapytywał:

— A cóż to dzisiaj Justysia żadnej sprawie za odwokata nie służy? czyby to waszmość pannie klientów zabraknąć miało? Albo się odzywał: — Co ci tam za to dali, żebyś za nimi mówiła?

Dziewczę się rumieniło, uśmiechało, lub ojca za szyję ująwszy, okrywało pocałunkami.

Dni jej płynęły jak w raju na tej poczciwej pracy, na rozmowach długich z Żeligą, przy książkach pobożnych, w ogródku, za krosienkami, lub po pieszczotach z matką i kochanym ojcaszkiem, w swawoli wesołej z panną Agnieszką.

Rzadko kiedy jeździły w sąsiedztwo, do kościoła, lub na dalsze ku Lublinowi wycieczki. Domyśleć się łatwo, jak gorącą była przyjaźń dziecięcia dla nauczyciela i piastuna Żeligi. Nikt też go zapamiętalej nie bronił nad nią, nikt lepiej nie pilnował, aby mu na niczem nie zbywało, czuwała nad nim jak on nad nią, i pieściła go niemal tak, jak ją rodzice. Przy niej słówka nań pisnąć nie było wolno. Pamiętała o wszystkich jego potrzebach, wiedziała najlepiej co on lubi, domyśliła się zawsze najpierwsza czego mu zabraknąć mogło. Nawzajem Żeliga też znosił jej kwiatki, podlewał ogródek, budował altanki, i zajmował nieskończonemi opowiadaniami. Nosił jej ciche jałmużny dziecęce na wieś, był posłem i pomocnikiem; ale dziwne z tego trafiały się jakieś omyłki, bo zawsze zaniósł więcej niżeli mu dano. Pytany potem nie bardzo się umiał wytłumaczyć, i nie bardzo chciał rozumieć o co go pytano, bałamucił, zagadywał, udawał że się przesłyszał. Justysia mu groziła, ale kończyło się zgodą.

On, Justysia i panna Agnieszka stanowili prawie nierozłączną trójkę, wśród której zawsze panowało wesele i niczem niezmącony pokój.

Gdy Żeliga się na jaki dzień oddalił, chodziły na jego spotkanie, wypatrywały powrotu, a Justysia umiała go przeczuć za wrotami, zobaczyć w ciemności, i poznać po chodzie. Naówczas rzucała się na powitanie śpiewając i zbiega ująwszy za poły, prowadziła jak swego niewolnika. Idąc na przechadzkę, Justysia zawsze stawała pomiędzy nimi, trzymając ich za ręce, spoglądając na przemian to jemu to jej w oczy i wypowiadając za nich myśli, jakby w obojgu sercach czytała.

Roskoszne były to chwile, a tak płynęły im szybko... Tylko Achinger coraz to posępniej mruczał, coraz to się więcej niecierpliwił.

— Wołokita jakiś — mówił do siebie — ni to z pierza, ni z mięsa, hołysz rezydent... sam się nie ożeni a mnie psuje.

Nie mogąc na to poradzić, wypatrzył nareszcie kuternoga dzień, gdy Żeliga poszedł do Chełma, dali mu znać szpiegi jego we dworze, a że drożynę znał, którą zwykł był powracać, zasiadł na niego w chacie leśnika postanowiwszy sam na sam stanowczo się z nim rozmówić.

Nad wieczór już było, gdy spieszący do Barcina Żeliga, postrzegł na drodze na kamieniu młyńskim dawno porzuconym nad rowem czatującego Achingera. Byłby go minął, ale unikać nie wypadało... uciec się wstydził... musiał tedy iść przebojem.

Pokłoniwszy się grzecznie, już miał nie zatrzymując się pójść dalej, gdy kuternoga wstał z młyńskiego kamienia i zatrzymał go.

— Za pozwoleniem, panie, za pozwoleniem...

Żeliga stanął.

— Przepraszam, ale chciałbym pomówić.

Żeliga się skłonił milczący.

— Dawno mi to leży na sercu — rzekł kuternoga — trzeba raz się roztłumaczyć.

Odchrząknął, ale mimo zuchwałości i dowcipu trudno było zacząć.

— Czekam — ozwał się Żeliga.

— Zaraz — rzekł Achinger. — Pan wiesz czy nie, że ja mam zamiar starać się o rękę panny Agnieszki?

— Nie wiem... a co to do mnie należy?

— No tak, to nie do waszmości należy, ale mi waszmość przeszkadzasz.

— Ja? czem?

Achinger splunął.

— E! e! *kruty ne werty!* co to długo gadać. Waszmość do niej cholewy smalisz...

— Ja? co panu jest? ja?

— Nie?

— Nie...

Znowu się kuternodze urwało.

— Ale ja mówię waszmosci że mi przeszkadzasz!

— Dalipan nierozumiem... — odparł sucho Żeliga — panna Agnieszka jest woli swojej panią, a ja nie śmiałbym nawet pomyśleć sięgnęć po jej rękę...

— To po cóż ją durzysz? — zawołał ze złością Achinger.

Żeliga ramionami ruszył.

Kuternoga jakoś sobie był zawczasu inaczej rozmowę ułożył, nie szła mu, zwrócił ją na żart.

— Kochany panie Żeligo — rzekł — obaśmy nie młodzi, niech kruk krukowi oka nie kole... nie psuj mi interesów...

— Ani psuję, ani naprawię — odparł przybysz — wiesz waćpan położenie moje w tym domu... wysokie progi na moje nogi... dobranoc!

— Ale zaczekajże — krzyknął Achinger — poradź mi.

Żeliga się uśmiechnął.

— Źle to już, gdy do małżeństwa cudzej rady potrzeba, to tak jak gdy się jeździec na konia podsadzać każe... nie zajedzie daleko... Zdrową jednę dam panu radę, porzuć waćpan amory...

— I powracaj do nory! — zgrzytając zębami i udając wesołość dodał kuternoga. Dobryś ty! dobry! ale słuchaj, ktokolwiek ty jesteś ja cię odkryję, ja się pomszczę... ja ci nie daruję...

— Za co? — spytał Żeliga.

— Tyś mi wszystko popsuł... No! no! dobranoc, ale jak Boga kocham, że się jeszcze gdzieś zobaczymy.

Żeliga, który już odchodził zatrzymał się, zdawał się z sobą walczyć, twarz mu krwią nabrzmiała i kij, który w ręku trzymał począł trzeszczeć bo go w pięści zdusił; Achinger uląkł się i pobladł.

*

— Nie daj ci Boże, abyś ty się ze mną spotkał tak jako myślisz! — rzekł ponuro.

Słowa więcej nie rzekli, kuternoga poszedł cicho do chaty leśnika, gdzie był konie zostawił, a Żeliga do dworu pospieszył. Achinger nigdy nikomu o tem spotkaniu nie wspominał.

Wszelako od imprezy swej nie odstąpił, unikał spotkania z Żeligą, ale starał się zbliżyć i rozmówić z panną Agnieszką. Sam bowiem dotąd z nią otwarcie jeszcze się był nie rozgadał; wiedziała ona dobrze co się święci bo któraż kobieta się tego nie domyśli, ale Achinger pochlebiał sobie, iż gdyby sam jej przedstawił ofiarę ręki i majątku, nieochybnie by ją przyjąć musiała. Szukał więc tylko sposobności, aby z nią pomówić o tem. (C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

2. Do drugiej grupy zaliczamy *wrażenia od naczyń krwionośnych pochodzące*, jako najbardziej do pierwszych zbliżone, ale już więcej wyraziste. Tak np. czujemy często podniesione bicie serca, albo tak zwane „ściśnienie,“ uderzenie krwi do głowy i nareszcie zwykły rumieniec, który najwyraźniej czujemy na twarzy. Zmiany w krążeniu krwi towarzyszą zwykle i pierwszej klasie wrażeń tylko w sposób mniej widoczny.

3. Trzecia grupa wrażeń pochodzi od *organów oddechowych*. Wiadomo że możemy do pewnego stopnia czuć ilość powietrza zawartego w płucach i jego przejście przez kanał oddechowy w obu kierunkach. Czujemy nadto do pewnego stopnia jakość tego powietrza i nazywamy je świeżem i czystem, lub dusznem i niezdrowem, na mocy wrażeń jakie od przewodu oddechowego odbieramy. Możemy także ocenić przebieg powietrza przez krtań podczas śpiewu, lub rodzaj dymu tytuniowego, który wciągamy w płuca i t. p.

4. Następna grupa wrażeń, które nazwiemy *nerwowemi*, ponieważ w samych tylko nerwach mają swe siedlisko, dostarcza nam prawie wyłącznie uczuć bolesnych i rzadko się trafiających. Są to mianowicie różne bole nerwowe już to bardzo wyraźnie umiejscowione w pewnym punkcie ciała, chociaż żadnej widomej zmiany wykryć w niej nie możemy, już też zależne od ogólnego rozstroju nerwów. Pośrednie miejsce między temi dwoma rodzajami zajmie ból mniej dokładnie umiejscowiony niż pierwsze — ale bardziej ograniczony do miejsca niż drugie. Tu należy np. nerwowy ból głowy i niektóre inne rodzaje newralgji. Tu także zaliczymy wrażenia jakich się doznaje, jeśli nerw który zostanie podrażniony stucznie elektrycznością lub przez prosty nacisk. Tak np. wiadome jest że nacisnąwszy w łokciu nerw idący do dłoni, uczuwamy oprócz zwykłego nacisku w łokciu, pewny rodzaj strzykania w piątym i czwartym palcu i w odpowiednich częściach dłoni.

5. Piąta grupa wrażeń od *narządu pokarmowego* pochodzących, bywa również mniej lub więcej umiejscowioną. W stanie zupełnie normalnym nie czujemy ich wcale — ale za to dostarcza nam ich każde najdrobniejsze zboczenie w funkcji trawienia. — Są różne stany żołądka, których dokładnie nie odnosimy do tego organu, i które wchodzą właściwie w skład pierwszej grupy, jak np. nudności, mgłości albo też wrażenie jakiego po dostatecznem najedzeniu się doznajemy: wrażenie sytości. Inne natomiast, jak czucie głodu, odnosimy bezwarunkowo do żołądka, albo jak czucie pragnienia do gardła i języka. Ten ostatni fakt da się o tyle usprawiedliwić, że jakkolwiek właściwe źródło pragnienia jest w żołądku i w ogólnym stanie krwi, jednakże stan ten powodując suchość gardła i języka, każe nam wierzyć, że w nich to jest prawdziwe siedlisko wrażenia. Do tej samej kategorji zaliczymy także czucie przełykania i wrażenia gorąca lub zimna, przy połykaniu gorącego albo mocnego napoju, lodu i t. p.

6. Pominiemy następną grupę wrażeń zależnych od różnych gruczołów i organów wydzielających — a zastanowimy się natomiast nad ogólnem znaczeniem wszystkich tych sześciu klas wrażeń, które dotychczas przeliczyliśmy. Wszystkie one są wewnętrzne tj. odnosimy je do wnętrza ciała, wszystkie są związane najściślej ze stanem zdrowia organizmu, i wszystkie noszą na sobie charakter nietyle przedmiotowy, jak np. we wzroku lub słuchu, lecz podmiotowy, tj. dostarczają nam albo wyraźnej przyjemności, albo wyraźnej przykrości. Dla umysłu naszego, dla rozumu, dla pojęć estetycznych z wyjątkiem ostatniej klasy, która stanowi przejście, znaczenie ich jest żadne. Główna ich rola polega na zdawaniu sprawy ze stanu ciała. W czasie równowagi, czyli zdrowia, nie zwracamy na nie uwagi — niemniej jednak stanowią one jakby tło dla wszystkich innych wrażeń a nawet i dla stanu naszego umysłu w szczególe. Z owych drobnych i często niejasnych wiadomości, jakie odbieramy od różnych naszych organów i funkcyj, tworzy się to co nazywamy humorem, albo usposobieniem. Wesołość naszego umysłu zależy w znacznym stopniu od charakteru wszystkich tych wrażeń razem wziętych, choćbyśmy na nic bliższej uwagi nie zwracali. Stąd też osoby chorowite są najczęściej poważne i smutne, zdrowe zaś są wesołe i ruchliwe. Stała obecność tych wrażeń tłumaczy wreszcie to co nazywamy temperamentem. One to bowiem nadają tło ogólnej działalności i jej taki charakter; żywy, entuzjastyczny, powolny, zgryźliwy, żółciowy, melancholiczny, stosownie do tego jaki pierwiastek w nich samych przeważa i czy są silniejsze czy słabsze.

Drugi dział wrażeń wewnętrznych, do którego obecnie przystępujemy, ma już bezpośrednią doniosłość dla umysłu, chociaż dopiero w ostatnich czasach cały jej zakres oceniono. Mam tu na myśli wrażenia *zmysłu mięśniowego*.

7. Prawie wszystkie części naszego ciała opatrzone są mięśniami, czyli wytworami tkanki włóknistej, sprężystej, które kurcząc się lub rozciągając powodują ruchy mechaniczne całego ciała, zarówno jak i mniej wyraźne ruchy różnych jego części. W tych zaś częściach rozgałęziają się dwojakiego rodzaju nerwy: jedne służące do wywoływania samego ruchu — drugie do zdawania o nim sprawy. W tej chwili obchodzą nas tylko te ostatnie tj. nerwy czuciowe w mięśniach. Otóż one to sprawiają, że czujemy nasze ruchy. Podnosząc rękę wiem, że podnoszę rękę, chociażbym na nią nie patrzył; tak samo czuję ruchy nóg, głowy, oczu przy patrzeniu i klatki piersiowej przy oddechaniu. Czuję, czy ruchy te są powolne czy szybkie, słabe czy gwałtowne, i najdokładniej rozpoznaję ich kierunek. Po długiej pracy mechanicznej, po długiej przechadzce lub gimnastyce czuję zmęczenie, czuję brak sił w mięśniach; natomiast po odpoczynku, po śnie lub po odpowiedniem pokrzepieniu się, uczuwamy potrzebę ruchu, zajęcia i energję do pracy. Wszystko to jest odbiciem wrażeń mięśniowych. Ale mają one jeszcze nierównie większe znaczenie. Oto uczą nas oceniać różne odległości, i są pierwszą podstawą dla wytworzenia się pojęcia przestrzeni. Posuwając rękę mierzę odległość danego punktu od naszego ciała mocą tego uczucia wysiłku, jakie każdemu ruchowi towarzyszy. Dziecko wyciąga ręce do świecy zarówno jak i do bardzo odległego światła nie umiejąc ocenić ich odległości. Dopiero przez szereg prób doświadczalnych dochodzi do przekonania, że nie wszystko co świeci daje się uchwycić, a więc jest bliskie. Pomoc jakiej nam tu oczy dostarczają, polega także głównie na mięśniach oczu, które sprawiają, że czujemy, czy patrzymy na przedmiot daleki, czy bliski, i w jakim kierunku. Wszystko co wiemy o różnych kierunkach przestrzeni i względnych odległościach przedmiotów, zawdzięczamy tym właśnie wrażeniom mięśniowym. Wielkość naszego pokoju oceniamy najprzód nie samym wzrokiem, lecz ilością ruchów jakie w jego obrębie zrobić możemy, wysokość zawartych w nim przedmiotów stopniem podniesienia oczu ku górze, w celu zobaczenia szczytu i t. p. Dlatego to dziecku, które całe jest mniejszem, którego kroki są mniejsze i zakres działania rąk mniejszy, wszystkie przedmioty otaczającące wydają się większemi aniżeli później w wieku dojrzałym. Świadczą o tem wspomnienia dziecęce, porównane z późniejszym widokiem tych samych okolic i miejscowości. Przestrzenią jest dla nas to co daje się wypełnić—a właśnie my przez swobodne nasze ruchy możemy ocenić stopień tego wypełnienia i dochodzimy do szczegółowych o niem pojęć. Wrażenia zmysłowe są nadto źródłem innych również zasadniczych pojęć. I tak: przez ściąganie się i rozciąganie mięśni, powodującychzmianę miejsca w tym lub owym członku, dochodzimy do wytworzenia sobie pojęć *siły* i *ruchu*. Już to samo wskazuje na olbrzymią doniosłość tych wrażeń. Możemy powiedzieć, że zmysł mięśniowy jest pierwszym i to gruntownym naszym nauczycielem. Bez niego nie wiedzielibyśmy co to jest przestrzeń, kierunek, położenie, siła i ruch. Przekonywają nas o tem nie tylko codzienne spostrzeżenia nad dziećmi, ale uważanie wpływu, jaki na całą umysłowość wywiera pozbawienie nas wrażeń tej kategorji. — Chorzy, których zmysł mięśniowy został sparaliżowany, tracą świadomość położenia własnych członków; silą się np. na wyprostowanie lub zgięcie nogi, która już jest wyprostowaną lub zgiętą. Wykonywując ruchy nie mają najmniejszego pojęcia o tem czy je wykonali czy nie, w jakim kierunku i z jaką siłą. Członki ich pomimo, że się poruszają, przestały być ich świadomą własnością: tak np. możemy je kurczyć lub wyciągać przy pomocy elektryczności bez wiedzy chorego, jeśli tylko oczy ma zamknięte lub patrzy w inną stronę. Będąc w kąpieli czują do pewnego stopnia wodę, ponieważ *skóra zachowała czucie dotyku*, lecz z powodu, że *czucia mięśniowego* nie posiadają, nie czują *oporu* jaki stawia woda przy poruszaniu w niej ręką. Chodzić i w ogóle poruszać się celowo mogą wtedy tylko, gdy wzrokiem śledzą czynności swych członków, w przeciwnym zaś razie nie potrafią nawet ująć odpo-

wiednio przedmiotu, który się im poda. Ściskają go albo zbyt mocno i gniotą, albo ujmują tak lekko, że im z rąk wypada, nie mają bowiem *poczucia ciężaru*.*) A jednak we wszystkich tych wypadkach zmysł dotyku na powierzchni skóry został w całości zachowany. Na małą skalę doświadczamy podobnego sparaliżowania nerwów mięśniowych, tylko już razem z dotykowemi, w czasie snu, i wtedy marzenie senne przedstawia nam nas samych w całkiej innej postawie i często nawet wydaje nam się, że bujamy swobodnie w przestrzeni, ponieważ poczucie układu własnego ciała jest chwilowo sparaliżowane.

8. Wrażenia mięśniowe w stanie normalnym łączą się zwykle z następną grupą wrażeń, tj. *z wrażeniami dotykowemi*, które do powierzchni naszej skóry odnosimy. Poruszając ręką natrafiamy na różne przedmioty i dotykamy się ich. Jeśli dotknięcie jest tylko biernem i nieruchomem, to i wrażenia jakich doznajemy są słabe. Lecz gdy naciśniemy palce i przesuniemy je po przedmiocie, wówczas najdokładniej możemy ocenić jego twardość, gładkość, stopień temperatury, suchość lub mokrość. Odróżniamy opór jaki nam stawia powietrze przy poruszaniu ręką, od oporu, jaki stawia woda i ciało stałe, a nawet wskutek częstych doświadczeń rozróżniamy płyny gęste od rzadkich, oliwę od spirytusu, marmur od żelaza, drzewo od szkła i t. p. Przez posuwanie ręki poznajemy nadto wielkość i kształt przedmiotu a ważąc go na ręku — jego ciężar. Dokładne ocenienie choćby ciężaru tylko bez ruchu, a więc bez wrażeń mięśniowych, jest niemożebnem. Jeśli położymy tylko ciężar na ręce, bezwładnie na stole leżącej, to możemy odróżnić co najwyżej 29 łutów od 30 ale już np. 39 od 40 odróżnić nie jesteśmy w stanie. Tymczasem przy ważeniu w ręku swobodnie, możemy odróżnić nawet 78 łutów od 80. Wiadomo zaś, że im ciężary większe tem też większe muszą być ich różnice i tak możemy odróżniać 19 $^1/_2$ od 30, 39 zaś dopiero od 40 — a 78 od 80. W obu razach rozróżnienie polega na trwaniu przez pewien czas poprzedniego wrażenia w pamięci; i im później drugi ciężar położymy, tem trudniej go od pierwszego odróżnić. *Weber*, który się głównie temi doświadczeniami zajmował, przekonał się, że przy największej uwadze 29 łutów odróżniał od 30 wtedy tylko, gdy pomiędzy odjęciem jednego a położeniem drugiego ciężaru, nie upłynęło więcej jak 10 sekund. Po upływie 30 sekund mógł już zaledwie 4 od 5 albo 24 od 30 odróżnić.

Rzecz godna uwagi, że powierzchnia naszego ciała w każdej chwili wytrzymuje ciśnienie słupa powietrza, równe 15.500 kilogram. jednak nic tego nie czujemy — tak się rzecz ma w ogóle ze wszystkiemi wrażeniami stałemi i niezmiennemi; dla świadomości bowiem wrażeń niezbędną jest zmiana wrażeń Widzimy to najlepiej na tych wrażeniach, które w każdej chwili od podłogi, od miejsca na którem się opieramy, i od ubrania wreszcie odbieramy. Zwracamy na nie uwagę wtedy tylko, gdy zajdzie w nich jakaś zmiana, gdy np. siedzimy niewygodnie, lub doznajemy jakiegoś wyjątkowego nacisku.

(C. d. n.)

---

*) Axenfenld. Die névrosses, 339 cytowany u Taine'a. *O inteligencji*, w przekładzie polskim Tomaszewskiego str. 185.

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(*Ciąg dalszy.*)

Miałem przynajmniej teraz przy sobie europejczyka i samoankę, postanowiliśmy więc uroczyście dni świąteczne obchodzić.

Gdy wy zgromadzeni w rodzinnem kółku pod ojczystym dachem, łamiecie się opłatkiem, życząc sobie dosiego roku; gdy raczycie się szczupakiem i karpiem na szaro, kluskami z makiem i kapustą z grzybkami, my tu jako rarytas jemy befsztek z angielskiego wołu, jakiegośmy dostali, aby zaś choć w części zbliżyć się do ojczystego zwyczaju, zrobiliśmy sobie także choinkę wyrwanego z lasu pewnego rodzaju pięknego iglastego drzewa, a ja zaśpiewałem choć tylko dla siebie kilka kolendowych piosenek.

Na to wszystko ze zdziwieniem spoglądała kasztanowata żona mojego przyjaciela, nie mogąc pojąć, coby to znaczyć miało.

Wracając do pobieżnego sprawozdania z moich poszukiwań na tej wyspie Sawaiki, zaznaczam to tylko, że między innemi znalazłem szczególnego ptaka, którego nie znałem dotąd i pomimo dobrych podręczników rozpoznać nie mogłem.

Był to rzeczywiście typ nowego gatunku, a wiadomości, jakie mnie po przesłaniu go do Hamburga doszły, były te, że ptak ten przezemnie tu znaleziony, opisany został przez dr. Fintcha i Hartlauba, a nazwany *Parendiastes pacificus*.

Inny ptak tem się charakteryzuje, że buduje gniazdo podobne do gniazda Flaminga, jakiego znalazłem jeszcze na wyspie Upalu, okazał się rzadkim gołębiem *Didunculus stringinostrus*, będącym niejako miniaturą zaginionego *Dido*, a znajdującym się wyłącznie tylko na wyspie Upalu, tak samo jak Parendiastes tylko na Sawaiki.

Na zakończenie tego krótkiego sprawozdania z pobytu mego na wyspach Samoa dodam jeszcze, że starałem się poznać dokładnie zwyczaje tutejszych ludów, ku czemu pierwszym krokiem było nauczenie się różnych narzeczy, co też nie bez wielkich trudności osiągnąłem.

Do pospolitego zwyczaju należy tu tatuowanie ciała, co nie jest żadnym religijnym obrządkiem lub prawem, pomimo różnych wzorów różnym plemionom i osobistościom właściwych, ale jest to poprostu próba, niejako pasowanie na dojrzałego męża, jakim ulegają wszyscy dzicy wchodząc w epokę męskości. Jest to bowiem operacja bardzo bolesna, pociągająca za sobą puchnięcie ciała i gorączkę, stosownie do organizmu silną lub słabszą.

Dla lepszego zbliżenia tutejszych krajowców do mojej osoby, aby wcisnąć się w ich zaufanie, poddałem się i ja tej próbie, rozumie się na niewidzialnych częściach mej postaci.

Zazwyczaj operację tę uskuteczniają kobiety długo do tego sposobiące się, lub specjalni że tak powiem artyści.

Operacja przypomina szczepienie ospy i skutki zewnętrzne są też podobne. Operator podług pewnego wzoru często rysuje wprzód na ciele, gdy więcej wprawny operuje od razu. Używa do tego płynnej farby najczęściej brunatnoczarnego koloru, spreparowanej z popiołu jakiejś rośliny i wody, macza w niej delikatne a ostre metalowe narzędzie w kształcie grabek, którem podług rysunku nie nacina, ale jak przy ospie rozszarpuje skórę, płyn wlewa w ranę i po przejściu zapalenia i oschnięciu wytworzonej ropy, pozostawia niczem nie dający się wygubić rysunek, głęboki jak fresk na murze, a często bardzo misterny i estetyczny.

Na brunatnem ciele krajowców rysunki te są czarne pospolicie, lub w niektórych razach stosownie do użytej farby różno-kolorowe, na białej zaś skórze Europejczyka rysunki przedstawiają się w kolorze popielato-błękitnym ciemnym.

Tatuowanie jest bardzo pięknym strojem tutejszych mieszkańców, nagość ich nie razi oka Europejczyka, gdy kostjum europejski przy ich brunatnej cerze komiczne robi wrażenie.

Kobiety okrywają biodra najczęściej tkaniną miejscowego wyrobu rozmaitego rodzaju, ale zawsze z włókien roślinnych lub z miazgi drzewnej. Zamożne i znakomitszych mężów córy lub żony, używają do tego tkaniny z włókien pewnego gatunku Hibiscus. Jest to wyrób robiący na pierwszy rzut oka wrażenie futra z polarnego niedźwiedzia, lub kożucha z chińskiego barana, włos długi, biały, nieco kędzierzawy a miękki, odwrotną stroną przedstawia się jak grube zwyczajne płótno.

Tkanina ta pomimo futrzanego pozoru nie grzeje ciała. Bujne włosy spinają z prawego boku wielkim kokosowym grzebieniem ozdobionym muszelkami, z drugiej strony zatykają długą szpilkę z ozdobnym łebkiem, wystającą na zewnątrz kilka niekiedy cali. Inne prócz tego noszą na czole wspaniałe djademy także muszlami przystrojone.

Metalową szyję zdobią muszlowym naszyjnikiem, a ramiona jak Wenus takiemiż obręczami wyżej łokcia.

Dla większej ozdoby noszą sute z ramion na piersi spadające kolje z nanizanych na sznurek kamyków, muszli, kawałków różnokształtnych drzewa różnobarwnego i kokosu. Palce stroją w pierścionki wyrobione z orzecha kokosowego, lub z bardzo twardego drzewa zabarwionego na czarno, co im daje pozór rogowych obrączek. Używają także podobnież jak i mężczyzni kolczyków w uszach w formie zwykłych mosiężnych kółek, z zawieszonemi na nich różnokształtnemi kamykami, w różnych naturalnych kolorach, lub emaliowanemi w rozmaite wzory, albo kawałkami barwistych szkieł. Kamyki te lub szkła najdziwaczniejszych często form stanowią zarazem drogocenną i rzadką monetę, mającą charakter mityczny, o czem później.

Z przemysłu fabrycznego zasługują na uwagę charakterystyczne makaty nietkane, ale jak bibuła lub tektura prasowane z miazgi drzewnej, farbowane na wskróś w dzikie wzory i desenie. Jednolite sztuki takich materyj, szerokie na kilka a do kilkudziesięciu łokci długości mające, używane są tutaj na żagle, namioty lub kotary od moskitosów osłaniające.

Piękniejszym jednak wyrobem choć ręcznym są różnej wielkości maty, mogące służyć za obrusy lub serwety; plecione są z łyka różnobarwnego misternie bardzo i w estetyczne dosyć desenie.

Okazy podobnych wyrobów, strojów, ozdób i narzędzi wraz ze zbiorem ornitologicznym oraz z kliszami fotograficznemi i odlewami, co wszystko opisami i uwagami zaopatrzyłem, wysłałem do Europy do Muzeum pp. Godeffroy. Sprawozdanie o tem zostało drukowanem po angielsku jako wyjątek z posiedzeń londyńskiego Towarzystwa zoologicznego. Dr. Hartlaub i dr. Finsch byli

sprawozdawcami. Niezależne od tego opisy moje ozdobione wspaniałemi ilustracjami i chromolitografjami ogłoszone są w przepysznem wydawnictwie pt. „Journal des Muzeum Godeffroy“ po niemiecku. Co do Samoa w pierwszym tegoż dzieła zeszycie. W polskim języku posłałem „Tygodnikowi ilustrowanemu“ w Warszawie dosyć obszerny choć ogólnikowy artykuł pt. „Obrazki z Samoa“ (drukowane w roku 1871). Prócz tego w wolnych chwilach pracuję nad obszernem polskiem sprawozdaniem z podróży moich po Oceanji, a czego tutaj nawał zajęć dokonać mi nie pozwoli, dopełnię gdy do ojczyzny powrócę, a że powrócę kiedyś to pewne, jeśli mnie tu gdzie dzicy kanacy nie utłuką lub w powrocie rekiny nie pożrą. Gdy przeznaczeniem mojem tutaj jest iść ciągle dalej i dalej — po roku więc podróży po wyspach żeglarskich Samoa, odpłynąłem w r. 1870 na Archipelag wysp Marnarkowskich. Tu na wyspie Ebon zamierzyłem zbadać dokładnie ryfy koralowe, co mi się po części pomyślnie udało.

Między innemi szczególnościami tych lasów podwodnych znalazłem piękny koral Pavonia paperecea, żyjący tylko w bardzo głębokich wodach. Jest on rzadkością w europejskich muzeach.

Prócz pięknych i licznych zdobyczy z pod morskiej i nadmorskiej fauny tych wysp, pracowałem także nad językiem miejscowym zupełnie odmiennym od Samoańskiego, a mówionym w kilku djalektach na wyspach Marschalla i Radacka.

Owocem tej pracy jest słowniczek tego ebońskiego języka, który to słownik po studjach Chemisso, jest najświeższą zdobyczą na tem polu. Jest on drukowany w pierwszym zeszycie „Journal des Muzeum Godeffroy.“

Po pięcio miesięcznym tutaj pobycie przeniosłem się na wyspę Jap, będącą plutonicznego powstania a mającą 5—6.000 mieszkańców. Pod względem politycznym dzieli się ta wyspa na bardzo wiele państewek, blisko do pięćdziesięciu, z których tylko sześć, a szczególnie Rul i Tomil mają większe znaczenie, wszystkie jednak mają niepodległy samorząd.

Rząd jest monarchiczny absolutny w ręku króla-kapłana, którego władza przechodzi dziedzicznie z ojca na syna, co jest zupełnie wyjątkowem na Mikronezji.

Japczycy są oddzielnym typem pomiędzy Mikronezyjczykami, mowa ich jest odmienna od innych języków oceańskich, należy do rodziny malajsko-polinezyjskiej i mówiona jest także na sąsiednim atolu Matelotas, którego mieszkańcy zapomnieli już swą pierwotną mowę.

Rasa Japczyków jest dosyć szlachetna, a rozszerzone kości licowe, brak zarostu i oczy czasami podobne do oczu Chińczyków, świadczą o domięszaniu się żywiołu azjatyckiego do rasy japskiej. Są bardzo pięknie zbudowani, po większej części wysmukli, cery brunatnej, o długich czarnych włosach.

Pomimo charakteru łagodnego, są bardzo przebiegli, bystrzy i dosyć rozwinięci umysłowo, chociaż przez swą religję są bardzo zabobonni, a ponieważ niedawno zetknęli się z europejską cywilizacją, nie zatracili więc jeszcze pierwotnego typu. Religja ich jest zbiorem wielu tradycyj nie mających jednak żadnego związku z Fetyszyzmem. Jedna tylko jaszczurka Hydrosaurus marmoratus jest przedmiotem religijnych przesądów, ale i to jedynie tylko w dystrykcie Tomil. Inne rzeczy jak: kamienie, gaje i łąki mają dzisiaj już tylko charakter pamiątkowy.

Japczycy jak i większa część Mikronezyjczyków tatuują się, ale w sposób sobie tylko właściwy i zupełnie odmienny od sąsiednich wyspiarzy. Zęby sztucznie farbują na czarno, do czego także przyczynia się silne żucie betelu.

Po większej części są bardzo bitni, wojowniczo usposobieni i w żegludze nadzwyczaj przedsiębiorczy. Na szybkich czółnach swoich puszczają się na otwarte morze, czego nie czynią sąsiedni im Pelawczycy.

Kobiety japskie choć w ogóle nie są źle traktowane, gną się pod brzemieniem ciemnych i poniżających zwyczajów.

Następujące mają Japczycy wyobrażenie o stanie duszy po śmierci: Dusza po śmierci zdaje sprawę ze swych czynów ze życia. Przybywa ona nad brzeg przepaści, przez którą prowadzi most wąski kokosowy. W środku mostu dusza zatrzymuje się, wtedy duch jakiś—sędzia, sądzi ją i podług tego sądu dusza albo przechodzi na drugą stronę państwa duchów, na wyspy pelawskie, albo zostaje ztrącona w przepaść.

To, że duchy Japczyków spotykają się w drugiem życiu z duchami Pelawczyków, dowodzi, że ludy te mają wspólne pochodzenie, chociaż dzisiaj wielka jest pomiędzy niemi różnica i nieprzyjaźń.

Pobyt mój tutaj jakkolwiek pod wieloma względami korzystny i interesujący, jest jednak dla mnie bardzo przykry, a to z powodu zuchwałego i nieprzyjaznego mi usposobienia mieszkańców. Wysadzony na pustym brzegu bez wielu koniecznych rzeczy, musiałem zająć kwaterę w spustoszałym od laty domu, w którym ani mego inwentarza, ani zdrowia od szkody ustrzedz nie mogę. Pobyt mój tutaj jest to ciągła walka o byt codzienny, prócz z krajowcami, ze szczurami, karaluchami, mrówkami, tysiącnogami i innem zwrotnikowem plugastwem.

Z nadejściem północno wschodniego Musonu, panuje dzień i noc tak silny wicher, że chałupa mnie kryjąca ledwie wytrzymać może taki passat.

Przechodziłem tu najrozmaitsze choroby wskutek ciągłego przeziębiania się. Okropne gorąco wywołuje poty, na które wicher działając sprawia niebezpieczne skutki. Raz zapuchło mi gardło, to znowu karku zgiąć nie mogłem, innym razem ogłuchłem na parę tygodni, a dla odmiany reumatyzm zaczął łamać mi kości, przytem ból głowy mnie dręczy. Te i tym podobne nieprzyjemności są mi wielką przeszkodą w przedsięwzięciach moich, dla tego to postanowiłem opuścić Jap i udaję się na 3 dni tylko odległe wyspy Pelawskie, gdzie ma być główne pole mojej działalności i gdzie pozostanę lat parę.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Według ludowego zdania, małżeństwo jest to sąd boży, bo narzeczony łączy się z narzeczoną, nie według wzajemnej sympatji, lecz dla tego, że tak los chciał, tak rodzice kazali. Nie tylko dawniej ale i do dziś w Moskwie dzieci swobodnej woli nie mają: mężczyznę żenią, a dziewczynę wydają, przedają, lub jak wyrażają się w Archangielskiej guberni — przepijają. Ojciec umyślił a krewni postanowili, tak mówi przysłowie, świadczące o nieograniczoności władzy ojcowskiej. Lecz nie jeden ojciec tylko, lub opiekun żenił syna lub wydawał córkę; prawo to w pewnych okolicznościach należało do każdej władzy — do właściciela wsi, do rządu i cara, bo każda nosiła charakter ojcowski.

Carowie, książęta, bojarowie i obywatele ziemscy, aż do chwili zniesienia niewoli, żenili przybliżonych swoich, ma się rozumieć, nie pytając o ich zgodę. Czasami rząd hurtownie zarządzał takie małżeństwa. Przy carze Aleksieju Michajłowiczu dla powiększenia ludności Syberji nakazano, żeby tameczni włościanie wydawali córki swoje za mąż za zesłanych, a ponieważ włościanie nie chcieli mieć złodziei i zbójców za zięciów, zmuszano ich siłą i za nieposłuszeństwo naznaczano wielką karę. Czasami rząd wysyłał na Sybir dziewczęta zabrane w miastach, polecając tamecznej administracji wydawać je za mąż. Sybirska gubernialna kancelarja rozkazywała wojewodom i rządom w 1759 r. nazbierać kobiet i dziewek, i zdatne do zamęźcia odesłać do Omska, do brygadjera Frauendorfa, który miał nakaz wydać je za mąż, lub oddać na służbę do nieżonatych oficerów. Takie małżeństwa w wojennych kolonjach były na porządku dziennym, aż do wstąpienia na tron ostatniego cara. Małżeństwa sieroty z sierotą, według rozkazu gminy, istnieją jeszcze do dziś.

W dawnej Moskwie jeden car mógł sam sobie wybrać żonę. Jak cesarzowie Bizancium i chanowie średniej Azji, car wybierał narzeczoną z dziewic całego swego kraju. W Moskwie i w prowincjach, do bojarów, właścicieli ziemskich i dzieci bojarskich posyłano uwiadomienie, że miejscowym władzom polecono „opatrzeć w nich dziewczęta i odsyłać do miasta do wojewody, który z nich miał wybierać najładniejsze i natychmiast wysyłać do Moskwy.“ „Kto zaś dziewczę swoję utai i na oględziny bojarom nie przyśle, ten będzie karany knutem.“ Tym sposobem przywożono do Moskwy dwa lub trzy tysiące dziewcząt, z różnych klas społecznych, z których wybierano narzeczoną dla cara. Zaufanym urzędnikom i ich żonom polecało się najstaranniejsze zbadanie, czy dziewczęta są zdrowe i czy nie mają jakich wad fizycznych. Ma się rozumieć, że między krewnymi przywiezionych toczyła się walka, bo każdy ród chciał spokrewnić się z carem. Na dziewczęta, które podobały się carowi i nawet na tę, która została wybraną i żyła w pałacu, wymyślali różne haniebne plotki i starali się ją „popsuć,“ co też uduwało się im nieraz. Dziewczyna zapadała na zdrowiu, wysyłano ją z pałacu, a nieraz ze wszystkimi krewnemi na wygnanie na Sybir, za chęć oszukania cara. Narzeczona Michała Fiodorowicza, Marja Chłopowa objadła się cukierków i zachorowała; za to wysłano ją do Tobolska a z tamtąd do Niżniego Nowogorodu, bo Sałtykowie upewnili cara, że ona ma „wielką chorobę.“ Wkrótce car dowiedział się, że ona wyzdrowiała; nakazano śledztwo, które udowodniło, że ją zgubiła intryga bogatego rodu, więc wszystkich Sałtykowych posłano na Sybir. Marja Dołhorukowa, żona Michała, umarła w trzy miesiące po wyjściu za mąż — otruta. Przed weselem Aleksieja, narzeczonej jego Wsiewołożskiej tak mocno skręcono kosę, że ta zemdlała; carowi powiedziano, iż jest zepsutą i że ma padaczkę: za to ojca

ukarano knutem i razem z córką wysłano na Sybir. Gdy nakoniec narzeczona była wybraną, car rozdawał wszystkie jej koleżanki przybliżonym bojarom i urzędnikom według upodobania swego, i wszystkie wesela odbywały się w jeden i ten sam dzień.

U zwykłych śmiertelników małżeństwo miało charakter umowy między dwiema rodzinami, a narzeczeni często do samego wesela nie tylko nie widzieli się, ale nawet nie wiedzieli, że kochani rodzice chcą ich połączyć. Zwykle matka udawała się do domu rodziców dziewczyny i oglądała ją jak towar. Ma się rozumieć, że jak przy każdej przedaży, kupującego nieraz starano się oszukać; chorą i bladą dziewczynę różowano, a chudą wypychano watą; jeżeli narzeczona była tak brzydka, że i w ten sposób naprawić ją było niepodobieństwem, to zamiast jej pokazywano inną jaką ładną dziewczynę, a za mąż wydawano pierwszą. „W całym świecie, powiada Koszychin, nie ma takiego oszustwa co do dziewcząt jak w moskiewskiem państwie.“ Oszukaństwo odkrywało się tylko po ślubie, gdy pan młody w domu odrzucił zasłonę pokrywającą twarz narzeczonej. Biedny złowiony mógł się skarżyć władzom duchownym; wtedy zaczynało się śledztwo i jeżeli oszukaństwo było dowiedzione, to winnego karali knutem, rozwodzili młodych. Lecz najczęściej trudno było przedstawić dowody oszukaństwa, więc mężom zostawała jedna pociecha: zemścić się na żonie za złą wiarę jej rodziców, męczyć i dręczyć ją aż do śmierci, albo zmusić do wstąpienia do klasztoru, żeby mieć możność ożenić się po raz wtóry.

Do 18 wieku nie było praw oznaczających najmniejszą ilość lat jaką mogą mieć nowożeńcy. Dziewczęta często wydawano za mąż jeszcze w dzieciństwie, gdy miały 13, 10 a nawet 8 lat, a chłopców żenili siedmioletnich! Nieraz takiego malca żeniono z dorosłą dziewczyną, a ojciec lub opiekun trzymał ją aż do pełnoletności swego syna lub pupila, który doszedłszy do dojrzałości, dostrzegał, że żona jego jest już podeszłą osobą. W 1749 r. włościanin z jednej gubernji skarżył się, że wtedy gdy miał siedm lat ożeniono go z dziewczyną mającą czterdzieści, i że teraz ona ma sześćdziesiąt. Ten obrzydliwy zwyczaj istnieje w Moskwie do tej chwili, i nieraz był powodem krwawych tragedyj.

W niektórych miejscowościach narzeczoną kupują za pieniądze. Nie tylko biedni, lecz i bogaci włościanie uważają za hańbę oddać córkę swą darmo. Im wyższa cena, tem więcej honoru dla narzeczonej.

Obrzęd ślubny odbywał się z mnóstwem ceremonij, lecz w ceremonjach tych przebijała się nieustannie myśl, że żona jest zupełnie zależną od swego męża i władcy. Ojciec dziewczyny brał bicz w rękę i bijąc córkę mówił: „Te uderzenia, córko, oznaczają władzę ojca; władza ta dzisiaj przechodzi w ręce męża.“ Po tych słowach oddawał bicz w ręce narzeczonego, który zakładał go za pas mówiąc, iż ma nadzieję, iż nie będzie miał potrzeby go użyć. Bicz ten następnie wieszał nad łóżkiem jako dowód swej władzy. Potem zaczynała się straszna orgja, pijaństwo, nieprzyzwoite śpiewy. Pijany i rozbestwiony mąż zabijał nieraz żonę, jeżeli mu niepodobała się w czemkolwiek. Iwan Groźny na drugi dzień po weselu z Marją Dołhorukową znalazłszy u żony jakąś fizyczną wadę, kazał ją utopić, zamknąwszy w skrzynię.

Uznanie małżeństwa za sakrament, utwierdziło się wśród ludu dopiero w ostatnich czasach, do 18 zaś wieku lud unikał kościelnych ceremonij mówiąc, że one są dobre tylko dla książąt i bojarów. Ceremonja zaś małżeństwa ograniczała się na tem, że państwo młodzi wziąwszy się za ręce trzy razy obchodzili wierzbę lub dąb, według pogańskich tradycyj. W niektórych powiatach witebskiej gubernji jeszcze w ostatnich latach w czasie zapust chłopcy umawiali się z dziewczętami, szli do lasu do świętego dębu, obchodzili go trzy razy i uważali siebie za połączonych węzłem małżeńskim. Duchowieństwo, któremu wymykało się przez to bardzo znaczne źródło dochodów, zaczęło walczyć przeciw temu zwyczajowi, rząd naznaczył za takie małżeństwo srogie kary, a przecież zwyczaj ten przetrwał w niektórych miejscowościach aż do dzisiaj.

Szczególne jednak starania kościoła były skierowane przeciw małżeństwom między bardzo bliskimi krewnymi, przeciw rozwodom samowolnym i wielożeństwu, które utrzymywało się w życiu do 17 a nawet do 18 wieku, szczególnie w Syberji. Mieszkańcy tamtejsi nie prowadzili życia osiadłego, owszem przenosili się z miejsca na miejsce, szukając zarobku, więc dogodnie im było mieć żony we wsiach leżących przy zwykłej ich drodze. Lecz położenie kobiety przy takiem małżeństwie było bardzo niepewne, bo mąż mógł rzucić ją lub odpędzić, dla tego też żony same starały się zamienić podobne małżeństwa na kościelne i bardzo popierały duchowieństwo w jego dążnościach. Biskupi sybirscy jeszcze w 18 wieku jeździli po dyecezjach swoich i karali pletnią i knutem tych, co się pożenili bez błogosławieństwa cerkiewnego. Lecz wielożeństwo, w skutek wielkich trudności dla otrzymania rozwodu, trwa i dziś w bardzo wielu miejscowościach.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Jeśli Tezejon jest napojem, w którym tylko smakosz aromat odkryje, Partenon będzie winem, które prócz aromatu posiada jeszcze siłę upajającą, a dla wszystkich równie dostępną.

Najpierw Partenon na stromej górze wysoko ponad głowę widza się wznosi, i kto pragnie dojść do Partenonu, ten musi dążyć po schodach mnogich, szerokich a olbrzymich do kolumnady frontu doskonale zachowanego. Dzięki temu wyniosłemu położeniu, można i z bliska odrazu poznać całą harmonję kształtów nad wyraz okazałego Partenonu. Rozmiary schodów wiodących do świątyni niewygodne dla swego ogromu, każą myśleć, że olbrzymy a nie zwykli ludzie, po nich do świątyni bogów kroczyć zwykli. Dla ułatwienia przystępu wykuto w tych schodach dwa chodniki o zwyczajnych proporcjach.

Że to nie dla ludzi wystawiona świątynia, widać wyraźniej jeszcze, gdy się stanie pod podmurowaniem Partenonu. Gdy bowiem podmurowanie Tezejonu tylko z dwu zwyczajnych schodów się składa, Partenon podmurowaniem na sążeń nad poziom opoki wzniesiony, a trzy tylko olbrzymie schody na podmurowanie owe prowadzą.

Ilość kolumn jest tu, jak mówiliśmy już, daleko większą jak w Tezejonie, i z tąd wynika życie niezmierne, i olbrzymia rozmaitość. Oko spotyka tu takie bogactwo linij i proporcyj, że się niem umysł zupełnie nasyca. Człowiek rozumie łatwo Partenon cały, chociaż znajduje w nim tyle przedmiotów zajmujących. Gdyby było jeszcze więcej kolumn i kaset, gubiłoby się oko w tłumie, a nie miałoby więcej jak tu zajęcia. Uległo by znużeniu, i poczuło by rojną jednostajność. To też bogactwo Partenonu tak obmyślono, że w sam raz zatrudnia umysł. Trochę mniej bogaty gmach nie miał by dostatecznej treści, bogatszy miał by jej zawiele.

Podobnie ma się rzecz z dobrą książką. I ona winna dwu przeciwnych skopułów unikać: nie zadowoli czytelnika książka, w której za mało jest treści, jak nie mniej przytoczenie kilku tylko faktów nie napełni jego umysłu, i dorosły a dojrzały człowiek nie przeczyta z przyjemnością dziecinnej książeczki lub szkolnego podręcznika. Z drugiej strony dziejopis który za wiele o swoich bohaterach prawi, który zbyt wiele bitew i intryg politycznych opisze, musi ostatecznie popaść w suchą jednostajność. Francuzi, którzy w dziejach Rewolucji pierwszego cesarstwa widzą dotychczas jakby ostatnie słowo historji, popadają zwykle w błąd zbytniego nagromadzenia szczegółów, ilekroć piszą o owej epoce. Pierwszy tom takiego dzieła czytasz z zajęciem, ale potem taki tłum rozmaitych wydarzeń zastępuje ci drogę, że zapominasz o różnicy między pojedyńczemi wydarzeniami, i odnosisz wrażenie, jak gdybyś siedząc na pustem wybrzeżu patrzał na zabójczo jednostajny pochód fal szarych.

Aristoteles powiedział, że ten tylko autor, który dobrze wie o czem ma prawić, jak ma prawić, jak ma mówić i co winien powiedzieć, dobrą książkę napisze. Otóż Partenon jest taką dobrą książkę, która umysł syci wcale go nie nużąc.

Ale nie na tem kończy się uczta umysłowa, którą Partenon widzowi gotuje. Nie masz nauki, którąby wspanialszą treść podawała miłośnikowi poznania. W każdej nauce chodzi przedewszystkiem o to, żeby to co jest ogólnem, odróżnić od tego co jest indywidualnem i osobistem. Każda nauka tylko na to jednostkę bada by rodzaj zrozumieć. Wiedzą o tem uczeni nowożytni, wiedziała stara nauka, i nikt nigdy bardziej od Greka Platona nie zapatrzył się w ogół, w prawo i w rodzaj, kosztem jednostki, samowoli i przypadkowości.

Co było przypadkowem, co było indywidualnem na świecie, to było według niego złem. Człowiek ulegał chorobom skutkiem tego, że posiadał swoje ciało, odrębne i różne od ciała nadciała, od ciała prawidłowego. Ciało samo przez się, ciało takie, które nauka zdoła sobie wyobrazić, ciało ludzkie, które by miało wszystkie, charakterystyczne znamiona ludzkiego ciała i nie więcej, byłoby doskonałem i nie ulegałoby chorobie. Że ciało pojedyńcze różni się od ciała doskonałego, więc jest gorszem i skazitelnem, bo lepszem być nie może. I to samo twierdzić można o duszy, a idąc dalej o samem że istnieniu. Jestestwo najwyższe, doskonałe, jest najpiękniejszym, najwyższym celem nauki. Każde pojęcie rodzaju jest ideałem, do którego jednostki bardziej albo mniej się zbliżają, a jestestwo będące jednostką samą w sobie, ale nieskażone żadnym ziemskim indywidualizmem, jest ideałem nad ideały, o którym Platon marzył niegdyś, i o którym wszystkie pokolenia wcześniejsze i późniejsze, mniej lub bardziej wyraźnie marzyły i marzą.

Oto Partenon namacalnie prawie okazuje

nam ideał. Kolumny i architrawy są tak odrębnemi, tak zamkniętemi w sobie przedmiotami, że widz mimowoli uważa je za istoty, szczególnie kolumny zdają się żyć życiem osobnem a sobie właściwem. Podobnie jak człowiek nietylko bliźniego swego ale zwierzę lub roślinę pokochać może, tak pokocha on i kolumnę. Ale miłość ta będzie tu spokojniejszą, bo kolumna zdaje się nie ulegać zniszczeniu i nie znać cierpienia. Stoi w sile swej spokojnie, i bez wytężenia dźwiga spokojny również fryz, a tak kolumna jak i fryz urągają z praw ziemskiej ciężkości. Kolumna, mimo ciężaru dumnie pnie się do góry, jakby porwana przez mnóstwo żłobków pionowych, a fryz spokojnie uwisł w powietrzu, jakby był ptakiem skrzydlatym, a nie głazem marmurowym.

Każda kolumna już dla tego uprzytomnia ideał, że każda tylko rozmiarami swemi od drugiej się różni. Wszystkie są podobne do ideału Doryckiej kolumny, a wstępują, jak Platon twierdzi, w kłamliwy świat rzeczywistości, tylko przez wysokość swoję i przeciętnię. Tu zaś, w Partenonie, i owa cecha indywidualna jest tak doskonałą, że widz mimowoli jest przekonany, iż to są właśnie rozmiary jakie być powinne, tj. idealnej kolumny. Trochę mniejsze były by mniej potężne; większe potężniejszemi by nie były, bo potężniejszemi już być nie mogą, a uszły by oku zbytkiem rozmiarów.

Ale kolumny owe to nie tylko kolumn ideały. To jakby ideały bytu, jakby uprzytomnienie owych duchów, któremi myśląca wyobraźnia wyższe zaludnia światy. W niewysłowionym spokoju spoczęły na wysokim szczycie, kędy zazwyczaj nie stąpa ludzka noga. Wykonują przeznaczenie swe bez skargi i męki, i bez obawy śmierci. Są istotami ale nie są ani ludźmi, ani zwierzętami, ani roślinami, ani głazami nieorganicznej natury. Nie są ludźmi i zwierzętami, bo całkiem inne od nich mają kształty; nie są roślinami, bo otoczyły się krystalicznemi żłobkami; nie są wreszcie głazami, bo głaz nieosobisty i niewyraźny, a one zamknięte w sobie i świadome celu. Więc są chyba duchami wyższemi, mieszkańcami nieba, ideałem życia, który sobie umysł zwykle z trudem i niewyraźnie tworzy, a który teraz nadspodzianie ogląda.

Platon za młodu, gdy myśl starej Grecji wyraźniej wypowiadał, i gdy starym mitom wyższe dawał tłumaczenie, ulegał pewno urokowi tych kolumn, i one go może natchnęły niejedną górną myślą. Ale Platon nadto się na starość w abstrakcje swoje zapatrzył, i nie wiedząc o tem stał się niewiernym Helladzie, i najniebezpieczniejszym z owych nowatorów z którymi całe życie walczył. On najpotężniej przeciw pięknu starożytnego świata dłoń podniósł. Umysłowi jego zapatrzonemu wciąż w naukę i w abstrakcję wydawało się, że abstrakcję i ideał, można bez uzmysłowienia, jakby okiem ducha ujrzeć wyraźnie. A każde przez sztukę dokonane uzmysłowienie uważał za podwójne i potępienia godne kłamstwo. Kłamstwem wedle niego był już świat rzeczywisty, a byt jednostki był odstępstwem od doskonałości ideału. Kłamstwem podwójnem, było kłamstwo sztuki; ona kazała głosem martwym życie udawać, a kłamliwemu obrazowi znikomego i skazitelnego życia adawać wieczny ideał. Cień cieniowi kłamał że jest prawdą.

Ale owa surowość była dobrą dla Platona, lecz nie była dobrą dla ludzi. Dla nich najwyższą ucztą rozumową, gdy mogą okiem oglądać i ręką dotykać wcielony ideał. I taką ucztę gotuje zwidzającemu Partenon. (C. d. n.)

Do młodej dziewczynki.

Pogodne jak wiosna, jak ptaszę szczebiotna
A tkliwe jak dziecię —
O dziewczę ty polskie szczęśliwe, polotne,
Rodzinnych pól kwiecie!
Gdy krasi cię uśmiech wschodzącej jutrzenki
Anielska prostota —
Cudowniej cię zdobią ubogie sukienki
Od pereł i złota!

O śmiej się dzieweczko! Niech głosik twój szklanny
Ku niebu ulata —
Jak oddźwięk skowronków modlitwy porannej
Jak echo z za świata,
Co wierzyć nam każe w istnienie aniołów
W harmonję wieczności...
I sieje promienie na mroki padołów
Nadziei — miłości.

Skarbnica natury przed tobą otwarta
Z bogactwy wszystkiemi;
Nad tobą zasiana błękitna nieb karta
Głoskami złotemi.
Jak dziecko stojąca w świątyni tej progu
Spoglądasz nieśmiele;
A wszystko ci mówi o życiu o Bogu
Tak wiele, tak wiele!

Więc słuchaj i patrzaj i w piersi twej młodej
Zachowaj głęboko
Wdzięk każdy, i uśmiech tej matki, przyrody,
Co pieści twe oko.
Pij pełnym oddechem rodzinnych łąk wonie
W majowym wieczorze —
W promieniach słonecznych niech dusza twa tonie
Jak rybka w jeziorze.

Bo tobie dziś ziemia, bo tobie niebiosy
Spiewają dziewczyno!
Więc zbieraj skwapliwie te dźwięki, te głosy,
Co w duszę ci płyną.
Te barwy błyszczące w dziewiczych snów wianku,
Co z cudów uwity —
By długo ci został ten odblask poranku
Na licach odbity.

I w piersi ta wiara dziecięca została,
Nadzieja ta błoga,
Co w przyszłość spogląda radośna i śmiała
Nie znając co trwoga.
Byś długo dzieweczko, jak słodka woń róży
Co z wiatrem ulata,
Jak śpiewna jaskółka co wiosnę nam wróży
Gościła wśród świata.

Bo przyjdzie dzień inny... o ja ci nie wróżę!
Z nieszczęścia zwiastuny...
Lecz życie to zdrada!... I wiosna ma burze,
A błękit — pioruny...
I kwiaty skwar lata wypala przedwcześnie
Choć jesień daleka...
Natenczas myśl nasza zraniona boleśnie
Do wspomnień ucieka.

I czerpie ochłodę dla duszy strudzonej
Z czystego ich zdroju,
I błogo spoczywa w oazie zielonej
Pod palmą spokoju.
Co jedna po latach przyjaznym swym cieniem
Pielgrzyma ugości...
A biada nieszczęsnym co tęsknem wspomnieniem
Nie znajdą młodości!

1876. *Marja B.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Przyroda ich drogoskazem.

Na północy kanonu wznosił się długi łańcuch gór. Po ich białych stokach od południa przesuwały się powoli dwie postacie i o zachodzie słońca stanęły na najwyższym szczycie — był to Filip i Gracja.

Pomimo wszystkich trudów podróży, braku posilnych pokarmów i ciągłego widma nędzy opuszczonych towarzyszy, twarz Gracji, zarumieniona zachodzącem słońcem, była prześliczna. Męskie ubranie, jakie miała na sobie, źle na niej leżało, niemniej jednak wdzięcznie uwydatniało jej kształty i nie zdołało popsuć pięknych ich linij. Tu, wśród różowego światła, długie jej rzęsy nie zupełnie zasłaniały ciemne oczy i Filip mógł oglądać w całej świetności doskonały owal jej twarzy, a nawet kilka piegów na niej. Poczęści by jej dopomódz, częścią zaś z miłosnego pociągu prowadził on ją ująwszy za talję i całując, co zresztą mogło dziać się mimowolnie. Jak tam im było, dość że Gracja z rozmysłem właściwym jej płci często stawiała mu pytanie: „Czy kochasz mnie, Filipie?“ na co Filip z szczerością właściwą płci naszej w razie podobnych zapytań zawsze odpowiadał: „Kocham!“

Pomimo to wszystko, młody człowiek był zakłopotany, niespokojny i głodny. Czwarty dzień upływał jak opuścili chatę. Na drugi dzień znaleźli pod śniegiem trochę jagód, a później zimowy zapas jednej wiewiórki. Na trzeci dzień zabili właścicielkę tego zapasu i zjedli. Wieczorem tegoż samego dnia dostrzegł Filip kaczkę lecącą od strony kanonu i w przekonaniu, że celem jej lotu jest jakieś jezioro, naprzód zapewnił się o kierunku lotu tego, a potem zabił trafnym strzałem kaczkę. W końcu zmieniwszy własny kierunek według kierunku ptaka zjedli go następnego poranku na śniadanie.

Filip był w wysokim stopniu rozczarowany. Z najwyższego szczytu, jaki dosięgnął z największem wysileniem, ukazywały mu się tylko nieskończone śniegiem ubielone wzgórza, jak daleko okiem mógł zasięgnąć. Nie było żadnej przerwy — żadnego śladu strumienia, lub jeziora. Nie było nic takiego coby wskazywało dokąd ptak zmierzał, a nawet zkąd przylatywał. Począł już namyślać się nad zmianą dotychczasowego kierunku, gdy nieprzewidziany wypadek wyrwał mu z rąk ten kierunek.

Gracja poszła na najskrajniejszy brzeg skały naprzód wysuniętej i wytężywszy wzrok o ile tylko mogła, poczęła wpatrywać się w granice śniegiem zasłanego pola, gdy wtem odłam, na którym stała, począł się poruszać. W tej samej chwili Filip znalazł się przy niej i pochwycił za rękę; ale jednocześnie wielki odłam usunął się z pod nóg Gracji i tylko ręka Filipa pozostała jedyną jej oporą. Nagłe wstrząśnienie udzieliło się granitowemu pomostowi, na którym stał Filip i pomost ten, nim młody człowiek zdołał odskoczyć, zadrżał, zachwiał się i posunął na dół, unosząc z sobą Filipa i Grację. Na szczęście sunęła się przed nimi ogromna masa kamieni i lodu, która zaczepiając za sterczące po bokach skały

pęd ich hamowała, chociaż spuszczali się po prostopadłej niemal pochyłości.

Nawet i w tym razie miał Filip dość przytomności umysłu i nie chwytał za zwisłe z boku skały; lecz silnie trzymał Grację wpół, twarz jej i głowę ukrywszy na swej piersi, i instyktowo niemal powierzając się spadającemu razem z nimi odłamowi. Czuł raczej, ale nie widział, jak z nagłych ciemności przelatywali w pędzie do jasności, jak gałęzie po bokach łamały się, jak sosnowe igły smagały go po twarzy. Wtem nagle uczuł, że już się nie rusza i wtedy — dopiero wtedy— wszystko zawirowało do koła niego i ostatecznie stracił przytomność.

Przyszedłszy do siebie uczuł piekące gorąco w gardle, jak gdyby go ktoś dusił. Otworzywszy oczy ujrzał Grację nachyloną nad sobą, bladą i strasznie zaniepokojoną, ręce i skronie śniegiem mu nacierającą. Na ustach miała krople krwi.

— Skaleczyłaś się Gracjo! były pierwsze wyrazy jakie mógł wymówić.

— Nie, najdroższy Filipie! Jestem niewymownie szczęśliwa żeś uratowany.

Ale w tejże chwili rumieniec znikł z jej ust, jak gdyby kropli krwi w nich nie pozostało. Oparła się o stojące w pobliżu drzewo.

Filip nie spojrzał jednak na nią; wzrok jego szybko obejmował okolicę. Znajdował się wśród połamanych sosnowych gałęzi i porozsypywanych odłamów skał. W uszach jego szumiało jakby szmer wody — a przed sobą ujrzał bystrą rzekę zaledwie w odległości stu stóp!... Jeszcze raz spojrzał. Zaczerwienione zachodzące słońce przebijało się promieniami przez gałęzie. Tu i ówdzie wzdłuż rzeki połyskiwało toż samo światło.

Teraz wiedział dokąd kaczka zmierzała. Wiedział dokąd uciekły ptaki i zwierzęta i dlaczego dokoła kanonu, żadnych ich śladów nie było. Tu nakoniec leżała przed nim otwarta droga!

Z krzykiem uniesienia zerwał się na nogi.

— Gracjo! zawołał, jesteśmy uratowani!

Gracja spojrzała na niego wzrokiem, w którym można było dostrzedz więcej radości z tego odkrycia aniżeli jego pojmowania.

— Spojrzyj tu Gracjo! oto przed nami leży naturalna droga, niebardzo wprawdzie wygodna, ale zawsze ślad dla wydostania się z tej pustyni. Jeżeli pójdziemy z biegiem rzeki, to ta doprowadzi nas do szerszej doliny.

— Wiem o tem, rzekła skromnie.

Filip badawczo spojrzał na nią.

— Gdym cię wyrwała z pomiędzy spadających skał i zsuwającego się śniegu, spojrzałam w dolinę, o której mówisz. Widziałem ją tam przed nami.

Wskazała mu wysuniętą naprzód skałę.

— Gdyś mię wyrwała, drogie dziecię?

Po twarzy Gracji przeleciał lekki uśmiech.

— O, ty niewiesz jak jestem silna, dodała,— i dowiodła tego zemdlawszy nagle.

Filip podbiegł ku niej. Schwycił za flaszkę, której pilnie strzegł podczas całej wędrówki. Flaszki nie było. Obejrzał się — leżała w śniegu — próżna!...

Po raz pierwszy podczas trudnej tej podróży zaklął straszliwie. Gracja otworzyła łagodne swe oczy, ujrzała kochanka z próżną flaszką w ręku i słabo się uśmiechnęła.

— Wysączyłam ją, rzekła, do twego gardła, mój drogi. Tak byłeś osłabiony, sądziłam, że umrzesz — przebacz mi!

— Ależ ja byłem tylko ogłuszony; a ty Gracjo, ty!

— O, teraz dobrze mi jest, odrzekła usiłując wyprostować się: lecz cicho jęknąwszy znowu opuściła się na ziemię.

Filip nie słyszał jej, gdyż pogramolił się na wystającą niedaleko skałę, o której mu mówiła. Gdy powrócił twarz jego promieniała radością.

— Gracjo, zawołał, widziałem! to tylko kilka mil ztąd!... Jeszcze dzień... na noc zdążymy tam.

— Obawiam się, że nie zdążymy, kochany Filipie, odpowiedziała tonem zwątpienia.

— A toż dlaczego? zapytał Filip, nieco zniecierpliwiony.

— Bo... zdaje mi się... że złamałam nogę!

— Gracjo!

Znowu zemdlała.

ROZDZIAŁ V.

Z ciemności do brzasku.

Na szczęście Gracja była w błędzie. Noga jej tylko wywichnęła się i dlatego stać nie mogła. Filip podarł swoją koszulę i obwinął spuchnięte miejsce bandażem zmoczonym w wodzie ze śniegu. Potem udało mu się zastrzelić przelatującą przepiórkę. Z drobnych gałęzi urządził rodzaj łóżka, rozniecił ogień i wmocnił siły młodej dziewczyny gorącem jadłem. Obawa głodu przeminęła, najgorsze, czego jeszcze mogli obawiać się, to, że będą zmuszeni do bezczynności przez kilka dni.

Powietrze w ostatnich kilku godzinach znacznie się ociepliło. Około północy łagodny wilgotny wiatr poruszał gałęzie sosen, a wkrótce dał się słyszeć szmer spadającego deszczu.

— Wiosna się przebudza! szepnął Filip.

Ale Gracjo nie czuła się usposobioną do poezji, nawet do poezji kochanka. Opuściła głowę na jego ramię i po chwili rzekła:

— Ty musisz iść dalej, Filipie, a mnie tu zostaw.

— Gracjo?!

— Tak, tak, Filipie! Mogę żyć dopóki nie powrócisz. Teraz nie obawiam się żadnego niebezpieczeństwa. O! mnie tu daleko lepiej, aniżeli im tam!

Łzy spadły na jego rękę; drgnął. Być może, iż był to głos jego sumienia; być może, iż coś zawierało się w tonie słów dziewczyny; być może, że przedtem już to samo mu mówiła — dość, że właściwość jego natury, to co sam nazywał „pospolitym ludzkim rozumem“ było w nim nieprzyjemnie dotknięte. Filip sam siebie poczytywał za człowieka wielkiego, śmiałego ducha, temperamentu ognistego, gwałtownego i miał to mocne przekonanie, iż wyratowanie swe od zguby zawdzięcza w pierwszej linji tym swoim przymiotom.

Przez jakiś czas nic nie mówił. Myślał o tem, jak tę dziewczynę z narażeniem własnego życia wyratował od straszliwej śmierci; myślał o tem, jak biorąc na siebie wszystkie ciężary, opiekował się nią podczas całej niebezpiecznej wędrówki; myślał jak uczynił ją szczęśliwą, jak to sama niedawno mu wyznała; myślał o obecnym jej stanie i jak chętnie przerwałby podróż dla niej. Przedstawiła mu się w myślach, chociaż w zarysach niejasnych, zawsze jednak błoga, szczęśliwa przyszłość jaką jej stworzyć zamierzał... a ona była w stanie teraz, w chwili możebnego nawet niezawodnego wyratowania się, troszczyć się o dwoje umierających ludzi, których, jeżeli tylko nie stał się cud jaki, śmierć dawno już zabrać musiała. Było to w charakterze Filipa — fakt, z którego niemało był dumny — że zawsze stawił się na miejscu osoby, którą osądzał i zastanawiał się nad tem, jakby sam postąpił w podobnem położeniu. Być może, iż zbytecznem będzie nadmieniać tu jeszcze, iż Filip zawsze był zdania, że zachowanie się jego w danym razie byłoby zupełnie inne. W obecnej chwili czuł on, stawiąc się na miejscu Gracji, że opuściłby wszystko i wszystkich za miłość i przyszłość taką jak ich. Że nie uczyniła ona tego to było widocznym dowodem moralnej niedojrzałości, lub też wrodzonej wady. Tego rodzaju logika jest dogodna i niedająca się zbić.

Po chwili powiedział głosem zmienionym:

— Pomówmy z sobą przez chwilę otwarcie, abyśmy mogli zrozumieć się należycie nim pójdziemy naprzód lub nazad. Pięć dni upłynęło od czasu jak opuściliśmy kanon. Nawet gdybyśmy byli pewni, że odnajdziemy drogę nazad, nie będziemy w stanie przed upływem dalszych pięciu dni powrócić do nich. Przez ten czas wszystko się ukończy. Albo będą uratowani, albo też nie będą już potrzebować żadnego ratunku. To twardo brzmi, Gracjo, ale nie masz nic twardszego nad rzeczywistość. Gdybyśmy zostali, podzielilibyśmy ich los nic im nie dopomógłszy. Ja byłbym na miejscu twego brata, a ty na miejscu swej siostry. To nasze szczęście, a nie nasza wina, że razem z nimi nie umieramy. Było postanowione, że ty i ja będziemy uratowani. Mogło tak samo być postanowionem, że my zginiemy wśród naszych wysileń by im dopomódz, i że ratunek, który dla nich w czas jeszcze przyszedł, dla nas na nicby się nie zdał.

Gracja nie była mocną w logice i nie mogła powstrzymać się od myśli, że gdyby Filip powiedział to pierwej, to nie opuściłaby chaty. Ale czytelnik mężczyzna, nadal jak sądzę odkryje niedostateczność takiego rozumowania i zrobi spostrzeżenie, że tym sposobem rozumowanie Filipa nie może być obalone.

Spojrzała na niego wzrokiem na pół przestraszonym. Być może, iż łzy zaciemniały jej wzrok, ale te niewiele słów jego zdawały się głęboko jej w duszę zapadać i po raz pierwszy doznała dziwnego uczucia jak gdyby była samotną. Zachciało się jej wyciągnąć ku niemu ręce, ale jednocześnie z tem poruszeniem doznała uczucia wstydu, które przedtem nie było jej znane. Filip zauważył to jej wahanie się i w połowie tylko zdołał je zrozumieć. Usunął rękę, na której wspierała się jej głowa i rzekł cierpko:

— Być może, iż lepiej zrobilibyśmy zaczekawszy dopóki sami nie wyjdziemy z niebezpieczeństwa. Twój nieszczęśliwy przypadek może nas tu zatrzymać kilka dni, a dotąd nie wiemy gdzie się znajdujemy. Teraz zaśnij, dodał w końcu łagodniej, a jutro zobaczymy co nam wypadnie zrobić.

Gracja usnęła łkając. Biedna Gracja! Tak wyglądała tej chwili ażeby pomówić o wspólnej ich przyszłości. Chciała mu przy tej sposobności powierzyć tajemnicę doktora Devarges. Chciała mu szczerze powtórzyć wszystko co doktor jej powiedział, nawet to jak się wyraził o nim z niedowierzaniem. A wtedy Filip z pewnością odpowiedziałby jej swoje zamiary, wtedy z pewnością powróciliby do kanonu i Filip uważałby się tam jak bohater, któregoby Gabryel niezawodnie uznał za godnego zostać jej mężem... wtedy wszy-

scy byliby tak szczęśliwi! A teraz wszyscy oni pomarli, być może z przekleństwem na ustach... Filip nie dał jej nawet pocałunku na dobranoc i usiadł mrucząc pod drzewem.

Blade światło wschodzącego dnia przedarło się przez gałęzie ku nim. Padał ulewny deszcz; rzeka wezbrała i jeszcze dwoiła się z każdą chwilą. Po niej płynęły pnie, gałęzie, śnieg i lód — jako zdobycz wielomilowego przebiegu. Czasami żeglowało wyrwane z korzeniem drzewo z widłowatemi podobnemi do masztów w górę sterczącemi korzeniami. W tem Filip zerwał się i głośno krzyknął. Gracja spojrzała na niego. Wskazał na jedno drzewo, które płynąc zawadziło o brzeg na którym znajdowali się, i całą swą długością przylgnęło następnie do niego zatrzymując się na chwilę.

— Gracjo! zawołał Filip wesoło, widocznie matka natura wzięła nas w swoją opiekę. Jeżeli mamy być uratowani, to stanie się to według jej wskazania. Doprowadziła ona nas aż do tego miejsca, a teraz wysyła łódź by prowadzić dalej. Chodź!

Nim Gracja zdołała wymówić jedno słowo, Filip wesoło wziął ją na ręce i usadowił między dwoma sterczącemi odgałęzieniami korzenia. Potem położył koło niej strzelbę i zapas żywności i wskoczywszy na ten szczególny statek odepchnął go od brzegu wielką gałęzią. Przez chwilę drzewo trzymało się jeszcze brzegu, na raz jednak ulegając prądowi wpadło w nurt jakby żyjąca istota.

Rzeka była bardzo wąska i bystra w miejscu z którego odpłynęli; przez niejaki czas musiał Filip wytężać wszystkie swe siły i ogromnie uważać, by płynące drzewo utrzymać na środku wody. Gracja siedziała spokojnie zachwycając się dzielnością swego kochanka. Po chwili Filip powiedział:

— Widzisz ten pień? Jesteśmy w pobliżu osady.

Obok nich płynął rzeką świeżo ociosany pień sosnowy. Promień nadziei zaświtał Gracji i wyrwał ze smutnych rozmyślań. Jeśli pomoc jest tak blisko, to czyż cierpiący nie dosiągną do niej? Nie chciała jednak wszczynać na nowo rozmowy o tem z Filipem, który zdawał się zapominać o wszystkiem.

Błogie uczucie owładnęło nią gdy zauważyła, iż kochanek nakoniec obraca się i balansując gałęzią służącą mu za wiosło, do niej się przybliża. Podszedłszy usiadł przy niej i po raz pierwszy od wczorajszego wieczora biorąc ją za rękę, rzekł czule:

— Droga Gracjo! mam ci coś powiedzieć.

Serduszko Gracji prędzej zabiło; przez chwilę nie śmiała podnieść na niego oczu. Ale Filip nie uważając na jej pomieszanie ciągnął dalej:

— Za kilka godzin nie będziemy już na pustyni, ale znowu na świecie, w osadzie między mężczyznami — a może kobietami. Wszystko to będą ludzie obcy — nie krewni, których znałaś i którzy ciebie znali, nie ludzie z którymi tyle tygodni i dni spędziliśmy, ale tacy którzy nas i naszych cierpień nie znają.

Gracja patrzała na niego w milczeniu.

— Pojmujesz, Gracjo, mówił dalej, że ludzie właśnie dlatego, że cierpień naszych nie znają, mogą mieć własne swoje zdania o naszej ucieczce. Jednem słowem, mówiąc wyraźnie, moje dziecię— ty jesteś młoda dziewczyna, ja młody człowiek. Piękność twoja, droga Gracjo, dostateczne podaje powody do wyprowadzenia wyników z tego, że jest nas tak dwoje, a wyniki te znajdą więcej posłuchu aniżeli co innego; tak że sama prawda nie naturalnie brzmieć będzie. Dla tego też prawdy tej wyjawiać nie należy. Ja sam powrócę z pomocą nazad, a ciebie aż do mojego powrotu pozostawię pod odpowiednią opieką tu. Ale nie zostawię cię jako Grację Conroy — musisz przyjąć własne moje nazwisko.

Silny rumieniec wystąpił na twarz Gracji i przez chwilę czekała z otwartemi ustami na następne słowa. Filip mówił swobodnie dalej:

— Będziesz moją siostrą — Gracją Aschley.

Krew znikła z jej policzków, oczy opuściły się na dół i twarz zakryła rękami.

Filip cierpliwie czekał na odpowiedź. Gdy znowu podniosła głowę, była spokojną, na twarzy jej wystąpił lekki rumieniec dumy, a gdy się spotkała z jego wzrokiem i lekko wysuwając naprzód usta, rzekła:

— Masz słuszność!

W tej chwili nagle oczyściło się niebo nad nimi, słońce oświetliło ich i ogrzało, drzewo zaczepiło się na zakręcie rzeki, a potem wpłynęło powoli na szeroką zalaną dolinę, której zieleniejące się wzgórzyste brzegi uśmiechały się ku nim. A dalej, z pomiędzy grupy wierzb, zaledwie w odległości jednej mili, wznosił się dym z komina kabiny *).

ROZDZIAŁ VI.

Ślad.

Dwa tygodnie wschodziło i zachodziło słońce bez chmur po nad stromemi szczytami Monument Point. Przez dwa tygodnie nie zaszła żadna widoczna zmiana w trupiej białości śniegiem okrytych skał, w białych wzgórzach łańcuchem się ciągnących, i w grobowej ciszy na górze i na dole panującej. Był pierwszy dzień kwietnia. Łagodny wietrzyk wczesnej wiosny powiewał w pustyni, ale i teraz nie zdołał wywołać żadnego odgłosu, ani ruchu.

A jednak dostrzedz można było pewną powolną zwodniczą zmianę. Białe boki gór więcej się zagłębiły, śnieg widocznie pomarszczył się w wielu miejscach; ukazywały się szare skały; linie konturów jeszcze się trzymały, ale więcej zaokrąglone, skielet począł wykazywać się z pod znikającego mięsa. Wielkie masy śniegu zmalały granit obnażając. Była to ostatnia zmiana hipokratycznej twarzy, którą natura ku widzowi zwracała. A jednak miejscowość była cicha, bez głosu; samotność niczem nie była naruszona.

Wtem jednego dnia wiatr przyniósł oddźwięk brzęczących uprzęży i ludzki głos przeleciał jakby po zamarłej dolinie. Pomiędzy górami przeciągał orszak konnych jeźdźców i objuczonych mułów, brnących w śniegu i gramolących się po skałach. Niezwykły dźwięk obudził dawno uśpione echo w górach; małe lawiny spadły z boków, a w końcu z zagłębienia jednej skały wysunęła na powierzchnię śniegu postać tak dzika, tak szkaradna, iż zaledwie podobną była do istoty ludzkiej. Popełzła po śniegu, ukrywając się za skałami, jak zwierz zastraszony, a w końcu zaczaiwszy się za drzewem, czekała na zbliżających się ludzi.

Przodem jechało dwóch mężczyzn, jeden poważny, skupiony w sobie, milczący; drugi wesoły, ożywiony i rozmowny. W końcu milczący przemówił, lecz powoli, raczej tak jak gdyby przywoływał sobie na pamięć wspomnienie, a nie wskutek obecnego wrażenia.

— Teraz nie mogą być daleko od nas. Okolica, w której ujrzałem ich po raz pierwszy, była taka sama jak ta. Miejsce jest mi znane.

— Dalby Bóg, ażeby tak było — dorzucił drugi prędko — gdyż powiedziawszy prawdę zaledwie mogę przypuszczać byśmy byli w stanie jeden jeszcze dzień dłużej utrzymać naszych ludzi przy tych głupich poszukiwaniach.

— Tu, to było tu! ciągnął dalej w zamyśleniu pierwszy, nie zwracając uwagi na słowa swego towarzysza, tu właśnie po raz pierwszy ujrzałem postacie mężczyzny i kobiety. Jeżeli gdzie niedaleko nie znajdziemy kupy kamieni, to będę przypuszczał, że fałszywie śniło mi się i uznam siebie za głupca.

— Tak ja przedtem mówiłem, dodał drugi śmiejąc się; cośkolwiek, kawałek papieru, stara kołdra, lub złamany dyszel — wystarczą. Kolumb podtrzymał upadających na duchu, swych ludzi, ukazawszy im morską trawę... Ale czego to nasi ludzie stanęli? Boże wielki! Coś pełza tam po skale!...

Wskutek wspólnego zabobonnego usposobienia całe towarzystwo skupiło się. Ci którzy przed chwilą byli głośnymi skeptykami, powstrzywali w sobie oddech z przerażenia i drżeli ze wzruszenia, gdy owa pełzająca istota, która dopatrzyła wjazd ich do kanonu, wyszła ze swego ukrycia i przybierając podobieństwo ludzkie w dziwnych ruchach i przy dziwniejszem jeszcze chrapaniu podsunęła się ku nim.

Był to Dumphy.

Przywódca opamiętał się pierwszy. Wystąpił przed innych i spotkał Dumphego w połowie drogi.

— Kto jesteś? zapytał.

— Człowiek.

— Co tu robisz?

— Umieram z głodu.

— Gdzie są inni?

Dumphy spojrzał na niego podejrzliwie i zapytał:

— Kto?

— Inni. Przecież sam tu nie jesteś?

— Sam jestem.

— Jak tu się dostałeś?

— Co wam do tego? Jestem tu i umieram z głodu. Dajcie mi co jeść i pić.

I zmęczony padł znowu na czworaki. Szmer współczucia przebiegł między obecnymi.

— Dajcie mu co! Czyż nie widzicie, że zaledwie trzyma się, zaledwie mówić może? Gdzie jest doktor?

Młodszy z dowódców, tak zawezwany, rzekł:

— Pozostawcie go mnie; potrzebuje on mojej pomocy więcej, aniżeli waszej.

Wlał mu nieco wódki w usta. Dumphy pociągnął, a potem stanął na nogi.

— Jak się nazywasz? zapytał uprzejmie młody lekarz.

— Jackson, odrzekł Dumphy.

— Skąd?

— Z Missuri.

— Jak tu przybyłeś?

— Odbiłem się od moich towarzyszy i zabłądziłem.

— A oni?

— Dalej pociągnęli. Dajcie mi co jeść.

*) Cabin jest to grota z nieociosanych pni, jakie zwykle budują pierwsi osadnicy.

— Odprowadźcie go do obozu i oddajcie Sanchezowi. On będzie wiedział co należy zrobić, rzekł lekarz do jednego z obecnych. A teraz, Blunt, ciągnął wesoło dalej, zwracając się do przywódcy, wygrałeś pan; ale pańskich „dziesięciu ludzi" zeszło na jednego i to na egzemplarz pod każdym względem nie bardzo się zalecający, dodał wiodąc wzrokiem za odchodzącym Dumphy.

— Pragnąłbym, aby to było wszystko, doktorze, rzekł Blunt skromnie, i chętnie teraz ustąpiłbym; ale coś mi mówi, że jesteśmy dopiero na początku. Po tym jednym być może, iż ukażą się inni. Co to tam masz?

Jeden z ludzi przybliżył się trzymając w ręku kawałek papieru z poobdzieranemi brzegami, jak gdyby go oderwano z miejsca, gdzie był przymocowany.

— Kartka... z drzewa? Nic nie rozumiem, rzekł zapytany.

— Ani ja, dorzucił Blunt, spojrzawszy na papier; zdaje się, że to po niemiecku. Zawołajcie Glohra.

Wystąpił słuszny Szwajcar. Blunt podał mu papier. Szwajcar przeczytał.

— Jest to, powiedział, wskazówka do znalezienia własności — ważnej i cennej własności — zakopanej.

— Gdzie?

— Pod kupą kamieni.

Lekarz i Blunt spojrzeli po sobie.

— Zaprowadź nas tam, rzekł Blunt.

Stłumiony, jednostajny tentent rozlegał się blisko godzinę. Po upływie tego czasu stanęli na szczycie jednej z gór otaczających kanon. Blunt krzyknął.

Przed nimi leżały w dzikim nieładzie kamienie, widocznie poprzednio ułożone w stos regularny. Śnieg i ziemia dokoła były rozkopane. Na śniegu leżały porozrzucane kawałki papieru, mapa z rysunkami przedstawiającemi ptaki i rośliny, rozbita szklanna skrzynka z owadami i pierze z kilku wypchanych ptaków; w niewielkiej ztamtąd odległości leżało coś podobnego do kupy szmat z ubioru. Wpatrzywszy się w tę kupę, najbliższy jeździec wykrzyknął i zeskoczył z konia.

Była to pani Brackett — nieżywa.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Powieści historyczne J. J. Kraszewskiego I. „Stara Baśń" powieść w 3 tomach. Nakład spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.*)

(*Dokończenie*).

Od tego czasu gotowano się z obu stron do stanowczego kroku. Chwostek wiedząc co mu zagraża, posłał do synów, którzy się u jego teścia w Niemczech chowali, zaczął obwarowywać grodzisko i starał się pogodzić z krewniakami, aby we wspólnej potrzebie walczyli z nim razem naprzeciw kmieciom. Aby zgodę umocnić i namówić ich do dania pomocy, dwóch z nich Sławoja i Zawoja wraz z synami zaprosił do siebie. Nie mogło jednak przyjść do porozumienia i pomni krzywd, które im wyrządzał, stryjowie nie chcieli mu udzielić pomocy, przyrzekli tylko neutralność. Do wściekłości to doprowadziło Chwostka i potworną Brunhildę; nawarzyła jadu i podała go w miodzie krewniakom. Nieszczęśliwi w strasznej agonji pomarli. Ciała ich, jak zwykle zwłoki zamordowanych, wrzucono do jeziora Lednicy. Tymczasem kmiecie zebrawszy się pod przewodem najwaleczniejszej między nimi rodziny Myszków, nadciągnęli na zamek. Rozpoczęło się oblężenie. Kmiecie wpław i na łódkach puścili się przez Lednicę. Oblężeni razili ich strasznie rzucanemi z góry głazami i pociskami z proc. Nic to jednak nie pomogło: przy drugim szturmie oblężeńcy wdarli się na zamek. Chwostowi jeszcze jeden tylko pozostał ratunek. W środku grodu stała silna kamienna wieża, do której się można było tylko dostać po drabinie, wejście bowiem do niej było u góry. Wieża ta była podzielona wewnątrz na kilka części rusztowaniami, przy których były otwory do rzucania pocisków na zewnątrz. W owym czasie była ona nie do zdobycia, podkopać się pod nią nie było można, bo fundamenty sięgały bardzo głęboko pod ziemię, ani podpalić, bo ogień kamienia się nie imał, ani przystawić drabiny, bo oblężeni rzucali z góry głazy i mordowali każdego, kto się przybliżył. W wieży znajdowała się studnia z wodą i trochę zapasów zboża. Chwostek ufny w moc swego grodziska, nie zaopatrzył wieży w żywność mogącą na długo wystarczyć, ale gdy zdobyto gród, nie było się co namyślać: wszyscy schronili się do wieży w nadziei, że wytrzymają oblężenie przez czas jakiś, a tymczasem Chwostka synowie uwiadomieni przez ojca o niebezpieczeństwie, przyjdą z niemiecką i pomorską odsieczą. Rozpoczęło się oblężenie opisane przez autora z iście homeryczną siłą. Oblęgający i oblężeni ciskali na siebie przekleństwa, wyzywali się, szydzili i od czasu do czasu zamieniali pociski. Położenie oblężonych było straszne: woda w studni dawno nieczyszczonej była nieczysta i cuchnąca, liche zapasy mąki na krótko wystarczały, a nie było drzewa, aby strawę zgotować. Chleptali więc zgniłą wodę, a żywili się rozkłuconą z niej mąką. Za wiele było gęb do jedzenia, trzeba było połowę ich usunąć. Brunhilda kazała Smerdom odłączyć słabszych żołnierzy i tym zadano truciznę. Stoczone jadem zwłoki wyrzucono przez otwory wieży. Tymczasem dzień za dniem upływał, głód coraz bardziej dokuczał, z wnętrza wieży dobywały się dzikie wycia i szczęki broni, oblężeni w głodowym szale mordowali się między sobą. Potem nastała cisza. Gdy kmiecie dostali się do wieży, znaleźli tylko trupy sine. Połowa legła od trucizny, a druga od mieczów. Kmiecie pozbyli się tyrana. Ale tu jeszcze nie koniec walki. Dochodzą wieści, iż synowie Chwościska idą się zemścić na Polanach i prowadzą z sobą mnogo Pomorców i Niemców. Trzeba się bronić, a któż będzie dowodzić, kto naczelną władzę w ręce weźmie? A więc znowu wiecują. Zdania podzielone, ci chcą na stolcu książęcym osadzić jednego z walecznych Myszków, którzy się najwięcej przyczynili do obalenia tyrana, tamci za innym głosują, a nawet zaczyna podnosić głowę partja żądająca, by się poddać synom Chwościska, albo wybrać księciem którego z Lechów. Dni na naradach upływają, nieprzyjaciel się zbliża, a zgody jak nie było tak nie ma. Kmiecie rozjeżdżają się do domów, a ojczyznę pozostawiają bez obrony. W tych trudnych okolicznościach wszystkich oczy zwróciły się na ubogiego Piastuna. Był to człowiek powszechnie szanowany, mówił mało, i to zawsze po głębokim namyśle, ale jeżeli słowo powiedział, to go już potem nie cofnął, słynny był przytem gospodarz, nikt tak jak on barci nie podpatrywał i nikt nie znał tak dobrze jak on starodawnych zwyczajów. Jeżeli gdzie wypadła jaka uroczystość familijna, musieli na nią prosić Piasta, bo on jeden wiedział kiedy i jaką pieśń zaśpiewać, jaką ofiarę złożyć. Słynną przytem była jego gościnność i uczynność dla bliźnich: gdy na Chwosta kmiecie zastawili zasadzkę, a ten uciekając schronił się do chaty Piastuna, on go przyjął jak najgościnniej i ocalił od niechybnej zguby, choć wiedział, że gości u siebie największego nieprzyjaciela kmieci, a więc i swojego. Zapytana o radę wyrocznia dała odpowiedź, że kneziem polskim będzie człowiek ubogi, który od pszczół się nauczył sztuki rządzenia. To też gdy tylko jeden głos się podniósł za Piastem, by go kniaziem wybrać, z wszystkich piersi dobył się jednogłośny, radośny okrzyk. Piastun, którego przemocą prawie na wiec przyprowadzono, nie chciał przyjąć wyboru i nie wiele myśląc uciekł do domu. I stała się rzecz dziwna — za nowo obranym kneziem musiano urządzić formalną gonitwę — szukano go długo, aż go znaleziono wreszcie pomiędzy barciami zajętego właśnie przyrządzaniem obuwia z kory. Mimo protestu, Piast musiał przyjąć wybór. Ale skoro tylko zdecydował się, stał się jakby innym człowiekiem: lękliwy pszczelarz nabrał w jednej chwili prawdziwie monarszej powagi, uorganizował armję i wyruszywszy pobił nieprzyjaciela na głowę. Szczęście i swoboda zapanowały w lackiej krainie. Piast rządził sprawiedliwie, szanując swobody narodu, zaprowadził ład, dobrobyt rozkwitnął, szczęście zagościło w każdej chacie. Zburzonego zamku Chwościska nie odbudował, nie chciał bowiem mieszkać na miejscu, gdzie wrogi tyran tyle zbrodni popełnił, natomiast wybudował sobie stolicę tam, gdzie odniósł zwycięztwo nad nieprzyjacielem kraju i nazwał ją Kneznem (Gnieznem.)

Oto treść „Starej Baśni" w głównym zarysie. Na tem tle umieścił autor miłość kmiecia Domana i córki starego Wisza Dziwy. Miłość ta nie dość ściśle połączona z treścią powieści, snuje się epizodycznie przez cały ciąg opowiadania i nastręcza autorowi sposobność narysowania kilku pięknych obrazków. Postać Dziwy, wieszczej dziewicy, a zarazem kobiety w całej pełni, jest jasnym promieniem rozświecającym ponury obraz wojen i mordów.

Podziwiać musimy w tej powieści intuicję historyczną p. Kraszewskiego. Nikt według nas dotychczas nie rozświecił tak zręcznie, a zarazem w poetyczniejszy sposób podania o Popielu i Piaście, nikt tak obrazowo nie przedstawił pierwotnego urządzenia naszej ojczyzny na podstawie gminowładztwa. Podanie często zawiera w sobie więcej prawdy, aniżeli fakt historyczny, ponieważ zawsze maluje charakter narodu. Trzeba tylko umieć z łupiny bajecznej jądro prawdy wydobyć. P. Kraszewskiemu to się udało. Przeczytawszy jego „Starą Baśń," jesteśmy pewni, że Polska w IX wieku tak wyglądać musiała, jak nam ją opisał. Rozumie się, że nie mówimy tego o szczegółach, ale kontury uderzają prawdą i logiką. Autor widocznie studjował głęboko mitologję i zwyczaje słowiańskie, dał nam bowiem w „Starej Baśni" tyle szczegółów odnoszących się do życia duchowego naszych pogańskich przodków, ile w tomach dużych rozpraw byśmy nie znaleźli. Opisy pogrzebu, święta Kupały, świątyni Nii, wewnętrznego urządzania chat słowiańskich i patrjarchalnego życia, wykonane z fantazją, uderzają swą plastycznością i dokładnością. Niektóre ustępy np. opis świątyni podczas burzy, lub oblężenia Chwosta, są prawdziwie homeryczne. Język w „Starej Baśni" tak jak jej treść

*

poetyczny i jędrny — często autor używa starych form językowych i wyrażeń starych, a niekiedy prozę swą ujmuje w rytm dźwięczny i poważny. Powieść tę czyta się z nadzwyczajnem zajęciem, jakby którą z prac Walter Scotta, a z odczytania jej oprócz przyjemności odnosi się rzetelny pożytek. Jest ona wzniosłym poematem historycznym, a zarazem najpoetyczniejszą historją. Z upragnieniem oczekujemy prac następnych, o których zaraz po ukazaniu się sprawę zdać nie omieszkamy.

Bolesław Czerwieński.

POGADANKI.

III.

W numerze poprzednim poświęciliśmy słów kilka wystawie przemysłowo-rolniczej, która w roku przyszłym odbędzie się we Lwowie, ale ponieważ zdaniem naszem sprawa to bardzo ważna, więc i dziś do niej wracamy.

Pomijając przemysł i rolnictwo, któremi Komitet będzie się głównie zajmował, zwracamy przedewszystkiem jego uwagę na niezbędną potrzebę postawienia na placu wystawy osobnego pawilonu, w którymby znalazły pomieszczenie najcelniejsze utwory naszej Sztuki ojczystej. Jeźliby kto chciał twierdzić, że Sztuki piękne nie należą ani do rolnictwa ani do przemysłu, odpowiemy mu na to, że w dzisiejszych czasach, żadna wystawa, chociażby najbardziej specjalna, nie obywa się bez wystawy obrazów i rzeźby. Pochodzi to ztąd, że nareszcie wszyscy zrozumieli, jaką rolę odgrywa Sztuka w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości. Rolnictwo może upaść, przemysł może zaginąć, nawet narody same, ulegając bądź zewnętrznej przemocy, bądź rozkładowi wewnętrznemu, mogą przestać istnieć — ale ich zdobycze na polu nauki i sztuki zostaną po nich, aby świadczyć najdalszym pokoleniom, że twórcy tych dzieł wzniosłych, byli synami narodu wielkiego, który w dziedzinie pracy umysłowej wywalczył sobie stanowisko niepoślednie.

Gdyby nie nauka i sztuka grecka, czyżbyśmy się dziś troszczyli o Helladę starożytną? Przechodząc teraz do nas, wypowiadamy głębokie nasze przekonanie, oparte nie na uczuciach patrjotycznych, lecz na znajomości rzeczy, że Sztuka polska stoi dziś na stanowisku pierwszorzędnem. Wprawdzie zagranica nie przyznała nam jeszcze tego jednogłośnie, lecz czy wina za tę nieświadomość obcych w wielkiej części na nas samych nie cięży? Oto myśmy czasem tak butni, że cały świat do nierównej wyzywamy walki, a czasem znowu tak skromni, że nawet tem się nie szczycimy z czego śmiało dumni być możemy.

Dumą naszą prawdziwą powinna być teraz sztuka nasza!

Niech autorowie niemieccy, nienawidząc nas za to, że wbrew ich woli ośmielamy się tworzyć naród odrębny, mający cywilizację więcej jak oni humanitarną, uporczywie przemilczają w swoich dziełach nazwiska naszych Mistrzów; niech autorowie francuscy i angielscy zajęci głównie sobą, także nie wiedzą, że Grottger i Matejko stoją nierównie wyżej, aniżeli ich gwiazdy dzisiejsze — my odpowiadajmy im na to bezustannem pokazywaniem arcydzieł naszych Mistrzów, a nadejdzie chwila, że i oni oddadzą nam sprawiedliwość. Nie zapominajmy również, że za półtora roku, cały świat cywilizowany zjedzie się do Paryża na nową wystawę. Własny interes nakazuje nam, abyśmy tam nie zginęli w tłumie spółzawodników; otóż jeżeli w roku przyszłym urządzimy we Lwowie wielką wystawę dzieł Sztuki, artyści przyjechawszy do naszego miasta, łatwiej się porozumieją, i przedsięwezmą coś takiego, co w r. 1878 przypomni nas światu całemu.

Ponieważ sztuka nie jest własnością jednego tylko miasta, ale kraju całego, więc pawilon dla niej powinien stanąć kosztem Lwowa, wszystkich miast prowincjonalnych, i obu Towarzystw przyjaciół Sztuk pięknych, lwowskiego i krakowskiego. Niech Komitet rozwinie w tym kierunku osobną agitację, a skutek będzie pomyślny. Jesteśmy pewni, że żadne z miast naszych nie uchyli się od datku na cel tak piękny. Przedewszystkiem zaś niech oba Towarzystwa w czas się porozumieją w tym przedmiocie, i niech lwowskie zrezygnuje z corocznej swojej wystawy, a za to wszystkie siły wytęży celem uświetnienia tej pierwszej ogólnej. A może i arystokracja nasza, która tak rzadko rzuca grosz na cele narodowe, podejmie się sama tej misji i własnym kosztem pawilon wystawi. Gdyby też który z panów naszych chciał w tym duchu poagitować w „towarzystwie,“ możeby się powiodło, a sam zachód byłby zasługą!

* * *

Pożar! Oto okrzyk złowrogi, powtarzający się co dni kilka od dwóch miesięcy. Całe miasta ogień obraca w perzynę — setki rodzin pozostają bez dachu — tysiące ludzi płacze na zgliszczach. Strasznym jest ogień, nieraz trudno mu tamę położyć, ale z drugiej strony wszyscy wiemy, że gdzie mieszkańcy myślą w czas o zaradzeniu złemu, tam nieszczęście nie jest nigdy tak groźnem i powszechnem. W ostatnich dwóch latach, w kilkudziesięciu miejscowościach uorganizowały się ochotnicze straże ogniowe, gdzieindziej zaopatrzono się przynajmniej w sikawki i inne narzędzia pożarnicze — to też tam pożoga nie grozi już mieszkańcom kijem żebraczym. Ale niestety nie mało mamy jeszcze takich miasteczek, gdzie o sikawkach i strażach ochotniczych, do tej chwili nikt nie pomyślał. Snać ludzie tamtejsi tak żyją, jak żyli ich ojcowie, i każda nowość, którą postęp niesie, jest dla nich czemś tak nadzwyczajnem, że się z niem oswoić nie mogą. Ależ nasi praojce mieszkali niegdyś w jaskiniach i odziewali się skórami z dzikich zwierząt — czemuż więc i my nie naśladujemy ich pod tym względem! Może łuna pożarów tegorocznych ocuci nareszcie zacofanych i apatycznych — może klęska, która nam nowe wydarła miljony, nauczy panów burmistrzów i radnych po małych miastach, jeźli już nie filantropji, której jeszcze nie rozumieją, to przynajmniej własnego interesu. Zorganizowanie straży ochotniczej nie należy do rzeczy nadzwyczajnych, bo przecie tyle zorganizowano ich w Galicji, a zakupienie sikawek nie wymaga sum znacznych, bo każda fabryka dostarcza ich za spłatą ratami. Potrzeba zatem tylko dobrych chęci.

* * *

Dobre chęci! Na pierwszy rzut oka są one prawie niczem, a jednak ile już dobrego zrobiły, i jak szanować tych należy, którzy je mają! Na szczególniejsze uznanie zasługują dobre chęci u ludzi zamożnych, z wybitniejszem stanowiskiem społecznem, którzy skutkiem odrębnych warunków wychowania i życia, popadają najczęściej w obojętność, od której do zimnego samolubstwa bardzo krótka droga.

Kilka dni temu otrzymaliśmy trzy broszury p. Teofila Ostaszewskiego z Wzdowa, zatytułowane: „Moje dobre chęci.“ Co się w nich mieści? Co chciał autor osiągnąć przez tę publikację? Oto w formie przystępnej, rymowanej, opowiada on bajki, powiastki i fraszki w których mieszczą się zdrowe rady, poczciwe przestrogi i najrozmaitsze prawdy tak rodzinne jak społeczne. Forma nie jest wyszukaną, ale mimo to wiersz płynie autorowi potoczyście i rzadko utyka. Pan Ostaszewski przeznaczył swoje „dobre chęci“ głównie dla włościan, ale i niewłościanin może każdą broszurę z pożytkiem odczytać. Ponieważ oświata ludu, jego moralność i dobrobyt powinne dziś stać na pierwszym planie naszej pracy narodowej, przeto sądzimy, że nie źle by było, gdyby Towarzystwo, zajmujące się wydawaniem dziełek ludowych, wybrało z trzech książek pana Ostaszewskiego utwory dla ludu najkorzystniejsze, i rozpowszechniło je w większej liczbie egzemplarzy. Nie wątpimy, że lud przyjąłby chętnie taką broszurę, a wtedy „dobre chęci“ autora wydałyby plon bogaty, czego z serca pragniemy.

* * *

W świecie książkowym cisza grobowa. Niegdyś każdy nowy miesiąc przynosił nam przynajmniej jaką powieść dobrą — dziś i o nią trudno. Z plejady naszych wielkich powieściarzy zostali tylko Kraszewski i Jeż, ale ci dwaj nie mogą wszystkich luk zapełnić. Młodszych nie widać i tylko kobiety, za przykładem swoich koleżanek zagranicznych, rzuciły się i u nas do tej gałęzi piśmiennictwa, wszelako sposób w jaki przedstawiają życie i charaktery, nie wszystkim przypada do smaku. W ich utworach jest dużo słów, za wiele narzekań, do zbytku wody, a treści tak mało! Wśród takich okoliczności, z prawdziwą radością witamy każdą nową powieść historyczną, nad któremi teraz pracuje niezmordowany Kraszewski. Dotąd wyszły dwie: *Stara Baśń* z wieku IX i *Lubonie* z wieku X. Znając nadzwyczajną pracowitość autora, która mu jednej chwili spocząć nie pozwala, nie wątpimy, że dalsze będą się okazywały w krótkich odstępach czasu. Chociaż o każdej z tych powieści obszernie w „Tygodniu“ pisać będziemy, radzimy jednak wszystkim rodzinom polskim, by się w nie zaopatrzyły, bo teraźniejsze powieści Kraszewskiego nie tylko bawią jako powieści, lecz także uczą jako historja. Zwłaszcza dla pokolenia dorastającego są one pokarmem niezbędnym. Iluż jest w kraju, którzy historję ojczystą znają choćby w ogólnych zarysach? Kraszewski ich z nią obznajomi, i żaden dandys nie ośmieli się potem twierdzić, że Stefan Batory był rotmistrzem w pułku huzarów wirtembergskich.

Józef Rogosz.

Kronika naukowa.

W kamieniołomach góry Cravanche, 3 kilometry od Belfortu, odkryto w roku bieżącym szereg grot obszernych, zawierających w wielkiej ilości skielety ludzkie w formacji stalagmitów, jako też narzędzia z kamienia i kości. Te groty, w których się znajdywały szczątki ludzkie, mają kształt trzech wielkich sal, połączonych z sobą

wąskiemi korytarzami. Zawierają one mnóstwo stalaktytów i stalagmitów przedstawiających obraz bardzo malowniczy. W niektórych miejscach stalaktyty łączą się w taki sposób ze stalagmitami, że tworzą słupy wznoszące się od ziemi aż do sklepienia groty. W innych miejscach pokłady wapienne przedstawiają na ścianach jak gdyby rysunki i draperje. Pierwotny otwór do tych jaskiń nie został jeszcze odkrytym. Wchodzi się do nich przez otwór powstały w skutek wydobywania kamieni na budowę twierdzy. Pierwsza sala ma 30 metrów długości, 10 do 12 szerokości i 10 wysokości. Inne są prawie równych rozmiarów.

Groty, o których mowa, musiały być używane jako grobowce przez mieszkańców przedhistorycznych tych okolic; znaleziono bowiem w nich wiele skieletów ludzkich, ułożonych jeden obok drugiego, i po części już inkrustowanych w tworzących się pokładach wapiennych. Feliks Voulot, któremu urząd miasta Belfortu polecił robić poszukiwania w tych grotach, wydobył ztamtąd dwanaście dobrze utrzymanych czaszek ludzkich. Czaszki te należą do typu mezokefalowego i mają czoło wysokie, kąt twarzy bardzo rozwinięty, szczęki prawie prostokątne, a łuki brewne bez wypukłości.

Oprócz skieletów znaleziono tam także trzy zupełne wazy z gliny wypalanej, noże krzemienne, dwa płaskie pierścienie z wężowca, strzały krzemienne, sztylety kościane, narzędzie z rogu jeleniowego podobne do naszych nożów do papieru, nareszcie naszyjnik z bardzo białych i bardzo twardych kulek kościanych. Wazy mają 8 do 10 litrów pojemności. Jedna z nich ma kształt cylindryczny z płaskiem dnem; druga jest trochę wydęta, a dno ma wypukłe. Obie są robione wolną ręką a nie toczone, i każda w nich ma trzy uszka z dziurkami poziomemi tak, że mogły być wieszane. W dwóch pierwszych grotach znaleziono także ślady ognisk. Poszukiwania, które Feliks Voulot wkrótce ma dalej robić, doprowadzą prawdopodobnie do jeszcze więcej zajmujących odkryć.

* * *

Wiadomo oddawna, że prężność gazu jest proporcjonalną do jego gęstości; jest to takzwane prawidło Mariotta albo Boyla, którzy to fizycy, każdy z nich niezawiśle od drugiego, to prawidło pierwsi poznali. Czyli zaś gazy stosują się do tego prawidła także przy b a r d z o s ł a b y c h ciśnieniach nie było dotąd zbadanem. W ostatnich czasach robił Amagat doświadczenia w tym względzie, które wykazały, że powietrze stosuje się do prawidła Mariotta, nawet przy przyciśnieniu $6^1/_2$ milimetra.

Do swych doświadczeń używał Amagat dwóch bań ze szkła grubego, z których każda miała trochę więcej niż 100 centymetrów kubicznych objętości. Banie te były połączone z sobą rurką cienką i tak ustawione, że ta rurka miała położone pionowe. Bania dolna kończyła się długą rurą, zanurzoną w naczyniu napełnionem rtęcią i mogącem być podnoszonem lub zniżanem. Bania górna połączoną była kurkiem o trzech przewodach z jednej strony z wywiewą, a z drugiej strony przez cienką rurkę z barometrem różnicowym. Gdy się powietrze w przyrządzie rozrzadza, podnosi się rtęć i napełnia banię dolną i to ramię barometru roznicowego, które jest w związku z baniami. Wtenczas oznacza się wielkość przestrzeni, jaką powietrze w bani zajmuje i mierzy ciśnienie na barometrze rożnicowym. Potem zniża się naczynie z rtęcią, rtęć spływa z bani dolnej do naczynia, przestrzeń zajęta przez powietrze staje się dwa razy większą, a powietrze o połowę rzadszem Powietrze zawarte w przyrządzie, które już pierwotnie w skutek wypompowania było tak rozrzadzone, że wywierało tylko $6^1/_2$ milimetrów ciśnienia, zostało tym sposobem dwa razy więcej rozcieńczone, a pomimo tego, że znajdywało się pod tak małem ciśnieniem prężność jego zmniejszyła się o p o ł o w ę; nie przestało ono zatem i w tym razie podlegać prawidłu Mariotta.

Przy tych doświadczeniach okazało się także inne zjawisko, które już przedtem niektórzy fizycy w podobnych razach spostrzegali, mianowicie, że po wypompowaniu powietrza z przyrządu i zamknięciu tegoż, prężność pozostałego w przyrządzie powietrza wzmagała się widocznie przez dość długi czas, aż nareszcie się ustaliła. Zjawisko to pochodzi ztąd, że powietrze w zwykłym stanie zgęszcza się przy szklanych ścianach przyrządu, a dopiero po zmniejszeniu ciśnienia gęstość jego staje się jednaką we wszystkich miejscach przyrządu.

* * *

Pascal powiedział, że „gdyby kto miał każdej nocy to samo senne marzenie i gdyby senne marzenie jednej nocy łączyło się pamięcią z marzeniem nocy poprzedzającej, toby te marzenia stanowiły dla tego, ktoby je miewał, drugie istnienie zupełnie urojone, któreby mu się jednak wydawało tak samo rzeczywistem, jak pierwsze.“ Od czasu Pascala spostrzeżono wiele zjawisk, które okazały, że ta uwaga nie jest niezgodną z zasadami fizjologji mózgu. Zdaje się nawet, jakoby znalazła zupełne potwierdzenie przez zjawiska, które Azam, profesor przy szkole lekarskiej w Bordeaux, spostrzegał na młodej kobiecie w tem mieście, a które opowiadał niedawno na posiedzeniu Akademji umiejętności moralnych.

Felida — tak się nazywa kobieta, o której mowa — urodzona w roku 1844 z rodziców zdrowych, jest fizycznie zdrową, z wyjątkiem zjawisk histerycznych, które się u niej okazywały. Jej wykształcenie umysłowe jest dostatecznem, a stan zdrowia umysłowego zupełnie prawidłowym i nie okazuje żadnego śladu hallucynacji, żadnej chorobliwej idei, ani żadnego obłędu w czynnościach.

W stanie prawidłowym jest ona bardzo pilną w pracy, mało mówiącą, usposobienia ponurego, woli stanowczej i zachowania się skromnego.

Prawie co dzień, bądź to w skutek jakiegokolwiek wzruszenia, bądź nawet bez wszelkiej widocznej przyczyny, ulega ta kobieta zjawisku, które nazywa swoją krizis, a co prof. Azam, który je bardzo często spostrzegał, w następujący sposób opisuje.

Zajmując się cały dzień szyciem, krizis napada ją zwykle siedzącą przy robocie i bywa poprzedzaną silnym bolem w skroniach. Ręce stają się nagle bezwładne, a ramiona opadają; zdaje się usypiać, lecz to nie jest zwykły sen, gdyż ani dźwięk, ani szczypanie, ani żaden inny sposób budzenia nie zdoła jej powołać do świadomości. Po kilku minutach Felida budzi się; lecz po przebudzeniu jest jak gdyby inną osobą. Gdy przedtem była ponurą i spokojną, teraz jest wesołą, usposobienia żywego, chód jej staje się szybszym, a wyobraźnia bujną. Władze umysłowe znajdują się wtenczas tak samo w stanie prowidłowym jak przedtem, lecz są znacznie więcej rozwinięte i energiczniejsze. Pamięta wszystko co się z nią działo, gdy była w stanie prawidłowym i poprzedzających okresach nieprawidłowych, tylko nazywa teraz stan nieprawidłowy r o z u m e m, a okresy poprzedzające stanu prawidłowego swoją k r i z i s.

Powróciwszy do stanu pierwotnego, przybiera napowrót dawne usposobienie, i pamięta wszystko co się działo w poprzedzających okresach stanu prawidłowego, który teraz nazywa swym r o z u m e m. Lecz n i e p a m i ę t a n i c co robiła we wszystkich okresach stanu nieprawidłowego.

Felida składa się więc jak gdyby z dwóch istot, następujących na przemian jedna po drugiej, z których pierwsza nie zna wcale drugiej, druga zaś zna pierwszą.

Taki był stan Felidy w ośmnastym roku jej życia. W ciągu dwóch następujących lat stan nieprawidłowy wcale się nie pojawiał. Po tem nastąpił pięcioletni okres, w ciągu którego zjawiska nieprawidłowe znowu z pierwotną siłą się okazywały, a trwanie ich ciągle wzrastało. Po trzech latach przerwy pojawiły się napowrót okresy nieprawidłowe, a trwanie ich tak wzrosło, że zajmują one teraz większą część życia Felidy, gdy początkowo stanowiły zaledwie część dziesiątą.

Prof. Azam przepowiada, że stan nieprawidłowy zostanie w końcu jedynym stanem, to jest, że zapełni cały ciąg życia Felidy, która tym sposobem odzyska napowrót jedność swej istoty, lecz przez zastąpienie inną osobistością tej, którą stanowiła w swej młodości.

Ludwik Wierzejski.

Wystawa powszechna w Filadelfji.

Wnętrze całego głównego budynku robi wrażenie ogromnej szopy z towarami. Najrozmaitsze okazy z najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu są tu nagromadzone jedne obok drugich, wygląda to jakby jakiś olbrzymi magazyn galanteryjny. Płótna i drogie materje obok naczyń z gliny i żelaza, wyroby stolarskie, szewskie, wszystko jedno obok drugiego pomieszczono w ładnych szafach. Zamęt nie do opisania, z którego tylko długiem studjowaniem wybrnąć można.

Szwecja trzyma palmę pierwszeństwa co do okazów stali i żelaza. Dwadzieścia osiem wystawców przysłało próby, a pomiędzy nimi takie znakomite zakłady jak w Molocie i Sandarku. W szwedzkim oddziale wystawy widzimy całe piramidy z żelaznych rur i prętów, ogromne śruby okrętowe, szyny kolejowe i tym podobne przedmioty. Profesor Lödermann wystawił figury plastyczne, przedstawiające ubiory narodowe Szwedów i Lapończyków, które ściągają do siebie ogromną ilość ciekawych. Są one wykończone z nadzwyczajną dokładnością. Gdy się u jednej z figur ręka podczas podróży pokruszyła odszukano w Filadelfji dziewczynę szwedzką, służącą w komisji wystawowej i z jej ręki naturalnej zrobiono nowy odlew. Postawa i całe ułożenie figur są nadzwyczaj naturalne. Jedna z grup przedstawia strzelca i jego familję przed sarną, która tylko co została zastrzeloną. Druga przepyszna grupa przedstawia Lapończyka w sankach wiezionych przez renifera.

Zapałki szwedzkie tak obecnie popularne w Europie, grają tu ogromnie ważną rolę. Wyroby ciesielskie są reprezentowane przez dwa śliczne pawilony ogrodowe ze Sztokholmu.

Wielkie zajęcie budzi i zgromadza dość ciekawych wystawa japońska. Bronzy i przedmioty lakierowane tego narodu są nieporównane. Przedmioty te mają jakiś dziwny charakter Japończykom właściwy. Dekoracje są bardzo śmieszne — a jednak nadzwyczaj efektowne. Na wystawie tej zwracają na siebie uwagę miski, talerze itp. przedmioty zrobione z drzewa pomalowanego najrozmaitszemi barwami, a potem pokrytego lakierem tak wytrzymałym, że nawet gotująca się woda nie jest wstanie go popsuć. Biurka szczególniej odznaczają się wyśmienitą stolarską robotą i przepysznym doborem barw. Cena ich wynosi od 125 do 1000 dolarów. Dokładność odlewów bronzowych japońskich jest nieporównana. Zwykle model przedmiotu wykonywa się naprzod z wosku. Robotę mają nadzwyczaj mozolną, gdyż najmniejszą figurkę wykończają aż do przesady starannie. Wyrabiają dokładnie każde piórko u ptaszka lub włos u zwierzęcia. Gdy taki model jest skończony, robią z niego formę. Pokrywają go naprzód bardzo cienką warstwą materjału ogniotrwałego. Takich warstw często sto nakładają zanim otrzymają grubość trzech lub cztereeh cali. Zupełne wykończenie formy zużytkowuje często całe miesiące czasu. Gdy forma stwardnieje wytapia się wosk i przystępuje do odlewania. Jednę wielką grupę bronzową, największą na wystawie zakupili Anglicy do Muzeum w South-Kensington. Najciekawszą rzeczą w odlewach bronzowych jest patyna. Patyną nazywa się ciemna barwa, którą przybiera powierzchnia bronzu po długim czasie. Ponieważ w Japonji nie istnieją prawa o patentach, więc tajemnica nadawania przedmiotom patyny była przez całe wieki przechowywaną w tajemnicy i przechodziła w spadku od ojca na syna.

Najwspanialszą bezwątpienia częścią całej filadelfijskiej wystawy jest pawilon machin. Lecz przyznać potrzeba, że jest to więcej wystawa machin amerykańskich aniżeli międzynarodowa, bo uczestnictwo państw europejskich nie jest jednostajne i stosunkowo bardzo małe. Jest to wystawa pochwalna jednego narodu.

Pawilon machin stoi w jednym froncie z pawilonem przemysłu, z głównym budynkiem wystawy i jest od niego przedzielony placem 150 metrów szerokim. Długość jego wynosi 442 metry, a szerokość 114. Budynek ten nie będzie zniesiony po skończeniu wystawy, gdyż wybudowało go miasto w celu zostawienia na późniejszy użytek do miejscowych wystaw przemysłowych. Ściany budynku są do wysokości półtora metra z cegły, a wyżej ze szkła szybowego, które jest wprawione między słupy o 5 metrów od siebie rozstawione.

Najbardziej imponującą machiną ze wszystkich wystawionych jest bezwątpienia główna machina parowa Corlissa, o której jużeśmy wspominali. Machina ta stoi przy wejściu od parku i celem jej jest poruszać wszystkie inne znajdujące się w pawilonie. Siła jej wynosi 1400 koni. Każdy z tłoków cylindrowych ma metr i jeden centymetr średnicy. Za każdem poruszeniem tłok się podnosi w górę o trzy metry i wykonywa 36 takich poruszeń na minutę. Odpowiada to prędkości 230 metrów; 20 kotłów parowych zasila parą ten kolos między machinami. Najciekawszem dla tłumów jest koło rozpędowe, które ma 9 metrów średnicy i które się obraca na obwodzie z szaloną szybkością 1000 metrów na minutę. Podczas upałów tłumy publiczności, szczególniej kobiet, stają niedaleko od tego koła, by się ochłodzić, tak silnym jest prąd powietrza przezeń wzbudzony.

Charakterystyką machin parowych w pawilonie znajdujących się jest to, że prawie wszystkie są horyzontalne, bez kondensacji i o bardzo prędkim ruchu tłoka. W ogóle z całości wystawy widać, że mechanicy dążą do coraz większego uproszczenia machin parowych i że już się znajdują blisko granicy doskonałości, do której kiedykolwiek dojść będzie można.

TEATR.

(„Żyd Polski“ dramat w 3 aktach pp. Erckmann-Chartrian, przedstawiony po raz pierwszy 10 Września 1876 r.)

Tajemnicza zbrodnia spełniona przed wielu laty na jakimś tajemniczym „żydzie polskim“ — zbrodniarz ukrywający się lat tyle przed okiem sprawiedliwości pod maską uczciwego, zamożnego, szanowanego obywatela i burmistrza — na afiszu: prezes sądu, wachmistrz żandarmerji, pisarz sądowy i magnetyzer, w perespektywie cały karno-sądowy aparat — na widok tego wszystkiego lekki dreszcz nas przeszedł i już sądziliśmy, że mamy przed sobą dramat kryminalny, przeprowadzony ściśle podług zasad procedury karnej, z tajemniczo-krwawemi i śledczo-sądowo-przerażającemi efektami, z policją, żandarmerją, aktami, sądem, kryminałem, prokuratorem, świadkami wyrokiem i — szubienicą w perespektywie. Na szczęście jednak zawiodło nas oczekiwanie. Sąd jest i odbywa się — ale tylko we śnie i podług procedury jakiejś senno-fantastycznej. Zbrodniarz zostaje osądzony i powieszony — ale także tylko we śnie. Wie o tem tylko on sam i publiczność — osoby występujące w dramacie nie przeczuwają nawet co się stało, a przywołany lekarz oświadcza, że pan burmistrz przeniósł się do wieczności w skutek nieumiarkowanego użycia — białego wina... Publiczność wie co się stało i dlaczego się stało i — to wystarcza zupełnie. Ona wie, że zbrodniarz zginął, osądzony na śmierć przez własne sumienie, palcem bożym dotknięty, i to w chwili, gdy wydawszy córkę jedynaczkę za wachmistrza żandarmerji w tym celu, ażeby tenże bronił go, jako swego teścia, w razie gdyby się zbrodnia wydała sądził że zapewni sobie bezkarność i czuć się będzie bezpiecznym przed ramieniem sprawiedliwości ludzkiej. Zbrodnia, choć się przed okiem ludzkiem ukryje, nie ukryje się przed okiem własnego sumienia, ani przed karzącą dłonią najwyższego Sędziego. Ta myśl przedstawiona jest w niniejszym utworze — myśl stara jak świat — ale wyrażona w sposób piękniejszy, poetyczniejszy i prawdziwszy, niżeli wielu innych potrafiło ją wyrazić — a to dla tego właśnie, że rachunek winy odbywa się tu wyłącznie miedzy zbrodniarzem a jego własnem sumieniem, bez wmięszania ludzkiej sprawiedliwości, krótkowidzącej, bezwzględniej i dlatego często niesprawiedliwej, która nieraz więcej psuje niżeli naprawia...

Z tego założenia rzeczy wynikło, że akcja dramatu musiała być czysto psychologiczną i taką jest w istocie. Odbywa się cała w duszy zbrodniarza, dręczonego na jawie i we śnie wspomnieniem spełnionej zbrodni, bojaźnią przed jej odkryciem, wyrzutami sumienia odzywającego się żałośnym odgłosem dzwonków, które koń zamordowanego żyda miał przywiązane do szyi, i które nieustannie, jak krwawy wyrzut i groźba, dźwięczą w uchu zbrodniarza.... Gdyby jednak w pierwszych dwóch aktach wprowadzono więcej kolizyj dramatycznych, a raczej gdyby te, w których się zbrodniarz znajduje, lepiej były wyzyskane, akcja psychologiczna byłaby się mogła lepiej rozwinąć i uwydatnić, stałaby się dramatyczniejszą i bardziej zajmującą.

Akt 3ci jest oryginalnie pomyślany i znakomicie przeprowadzony. Pomysł przedstawienia tego, co się dzieje w duszy zbrodniarza za pomocą snu i sprowadzenia ostatecznej katastrofy i rozwiązania jej we śnie — jest wysoce poetyczny a przytem psychologicznie prawdziwy. Pod względem formy przypomina on znakomity dramat Grillparcera *Der Traumein Leben*. Śmierć zbrodniarza, wynikła niejako w skutek wyroku wydanego we śnie, jest również poetyczniejszą i naturalniejszą, niż gdyby była nastąpiła w skutek jakiegoś zewnętrznego, przypadkowego zdarzenia, wpadającego niespodzianie jak *deus ex machina*. Cały akt trzeci jest wysoce dramatyczny. Dwa pierwsze akta, jakkolwiek prowadzone trochę powieściowo (powieść jak wiadomo jest głównem polem twórczości pp. Erckmann-Chartrian) nie są mimo to pozbawione interesu dramatycznego, wciąż stopniowo wzrastającego. Do zwiększenia takowego przyczyniają się znacznie efekta sceniczne, umiejętnie użyte, a więc autorom dramatu widocznie nie obce.

„Żyd Polski“ (dlaczego właśnie „polski“ nie wiedzieć, bo sądząc z jego opisu, nie posiadał on nic tak specyficznie polskiego) robił swojego czasu wielką furorę w Londynie i na innych scenach, gdzie go przedstawiono. Sztuka ta zasługuje w istocie na wszelkie uznanie, a tem samem i wybór zrobiony przez dyrekcję. Polecamy ją zwłaszcza na przedstawienia świąteczne.

Cały ciężar przedstawienia tej sztuki spoczywał na barkach p. Ładnowskiego, grającego w niej główną i jedynie wybitną rolę. Odegrał ją efektownie, a miejscami, jak n. p. w owej scenie z Chrystjanem (p. Woleński), kiedy przyszły zięć rozwija swój pomysł odkrycia dokonanej zbrodni, z głębokiem artystycznem poczuciem. Zarzucilibyśmy tylko p. Ładnowskiemu niepotrzebną rozwlekłość w wymowie, która zaczyna już razić manjerą. Reszta ról wypadła bez zarzutu, z wyjątkiem roli Anny, która łatwo między tutejszym personalem żeńskim wdzięczniejszą (?) znaleść by mogła przedstawicielkę.

Ar..y.

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Zehn Jahre aus meinem Leben 1862 — 72 von Princessin Felix zu Salm-Salm. Drei Bände. Mit dem Porträt der Verfasserin. Stuttgart — Hallberger — 1876.

Księżna Salm-Salm opowiada nam dzieje dziesięciu lat swego życia. Dziesięć lat, mały to w biegu dziejów przeciąg czasu, ale w latach od r. 1862 do 1872 wrzała wojna amerykańska, w tym czasie odegraną została tragedja meksykańska, której ostatnim aktem było stracenie Maksymiliana, i nastąpiła olbrzymia walka niemiecko-francuska. We wszystkich tych wypadkach autorka brała bezpośredni udział. „Nie piszę“ powiada księżna na wstępie, „historji, podaję tylko, co osobiście doznałam, a choć starać się będę, oceniać bezstronnie ludzi i wypadki, obawiam się, czy mi się to uda, wielcy bowiem filozofowie utrzymują, ze u kobiet uczucie ma przewagę nad przedmiotowem zapatrywaniem, czyli że u nich rozum nie idzie w parze ze sercem“. Autorka zastrzega się dalej, jakoby pisała biografię własną, gdyż położyła sobie za zadanie, opisując współczesne osobiste zdarzenia przyczynić się do rozjaśnienia współczesnej historji. W pierwszym tomie opowiada nam amerykańską wojnę. Książę Feliks Salm — Salm, syn młodszy udzielnego księcia Salm — Salm — Anchalt, służył w wojsku austrjackiem, lecz apanaże księcia i gaża oficerska nie wystarczały księciu, narobił długów, przed któremi uciekł do Nowego Jorku. Prezydent Lincoln przyjął go temi słowy: „Że Pan jesteś księciem, nie będzie to u nas panu zawadą.“ Młody oficer zostaje wkrótce pułkownikiem. Na początku wojny zaślubia autorkę. Towarzyszy mu ona podczas całej wojny, dlatego też wiele nam o niej opowiada. Losy wojny, znakomite osobistości, awanturnicze wyprawy przeciągają jakby w kalejdoskopie żywemi kolorami ręką autorki kreślone. Wiadomy koniec tej bratobójczej walki. Książe Salm odznaczył się i został jenerałem. Tymczasem w Meksyku liberalni pod dowództwem Juarcza wystąpili przeciw Maksymilianowi. Książe Salm przybywszy tamże stanął po stronie cesarz i jak wiadomo, nie odstąpił go do ostatniej chwili. Księżnej przypadła rola przedsięwziąć ostatni krok, aby ocalić cesarza. „Łkając upadłam na kolana,“ opowiada autorka „i prosiłam słowy serdecznemi, których teraz przypomnieć sobie nie mogę. Prezydent chciał mnie podnieść, lecz ja ścisnęłam kurczowo jego kolana, i nie chciałam ustąpić, dopóki by mi nie darował życia cesarza. Spostrzegłam, że był wzruszony: tak on jak Pan Iglesia (minister) mieli łzy w oczach, odpowiedział mi jednak cichym, smętnym głosem: „Żałuję mocno, że widzę Panią na kolanach przedemną; jednak gdyby wszyscy królowie i królowe Europy uklękli przedemną, nie mógłbym nic uczynić. Nie ja biorę mu życie, lecz naród i prawo.“ Księżna Salm powróciła z mężem do Europy i zamieszkała w Koblencji, gdzie jej mąż otrzymał tytuł majora pruskiego. W trzecim tomie kreśli autorka wrażenia, jakie na nią wywarła Europa i niemiecko-francuska wojna. — Następnie wzięła udział w walce francuskiej jako siostra miłosierdzia pielęgnująca rannych. W bitwie pod Gravelotte zginął jej mąż.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Zwłoki śp. Seweryna Goszczyńskiego, zotały przeniesione do nowego grobu, na którym ma stanąć pomnik wykonany przez p. Markowskiego. Ponieważ pomnik wygląda bardzo okazale, przeto odzywają się grosy, z któremi i my się łączymy, za postawieniem go w mieście, na jednym z placów, lub w ogrodzie

publicznym. Gdyby to nastąpiło, grób zmarłego poety otrzymałby pomnik inny, skromniejszy.

— O pośmiertnych dziełach śp. Aleks. Fredry pisze „Afisz teatralny“: „Możemy dziś podać jak najdokładniejsze wiadomości w sprawie pośmiertnych utworów scenicznych Fredry. Wolą znakomitego komedjopisarza było, by po jego śmierci syn utworzył nie komisję, lecz rodzaj przyjacielskiej rady co do wydawnictwa i przedstawienia jego pośmiertnych dzieł. S. p. Fredro wymienił tylko p. Franciszka Paszkowskiego, zostawiając zresztą synowi zupełną wolność co do składu tej rady. Nie chcąc stwarzać zbyt ciężkiego ciała hr. Fredro (syn) zaprosił do niej pp. Franciszka Paszkowskiego, dr. Antoniego Małeckiego, Władysława Łozińskiego, Stanisława Koźmiana, dyrektora teatru krakowskiego i hr. Stanisława Tarnowskiego. Obecnie dzieła śp. Fredry przepisują się, gdyż jeden tylko istnieje egzemplarz. Skoro komedje będą przepisane, nadesłane zostaną osobom należącym do rady zamieszkałym w Krakowie; już pięć z tych komedyj jest w rękach pp. Małeckiego i Łozińskiego. Po przeczytaniu ich nastąpi wspólna narada. Z żadnym księgarzem nie rozpoczną się układy, dopóki pełna rada warunków wydawnictwa nie ustanowi. Wszystkie zatem wieści o nabyciu prawa wydawnictwa przez jakiego bądź księgarza są fałszywe.“

— Pan Stanisław Siennicki napisał i wydał opis cmentarzów mahometańskich w Warszawie. Poprzednio pisał on także monografję kościoła św. Katarzyny, elzewirów bibljoteki uniwersytetu w Warszawie i wiele innych.

— Muzeum warszawskie między innemi darami otrzymało od hr. Pelagji z Zamojskich Branickiej piękny okaz części sufitu, będącego kopją sufitu Alhambry byłej siedziby Maurów w Hiszpanji.

— Jeden z warszawskich pisarzów dramatycznych pisze obecnie nową komedję w kilku aktach p. t. „Bractwo wzajemnej admiracji.“ Przedstawienie tej sztuki byłoby we Lwowie bardzo pożądanem.

— Pan Gabryjel Rożniecki napisał dla sceny teatru towarzystwa dobroczynności jednoaktową operetkę p. t. „Czary,“ do której libretto na temat ludowy sam dorobił.

— Opuściły prasę odczyty prof. Wiszniegradzkiego, miane w instytucie technologicznym w Petersburgu, o teorji mechanicznej ciepła, w poprawnem tłumaczeniu Ignacego Kempińskiego, zaopatrzone przedmową tłumacza.

— Akademja umiejętności w Krakowie wydała pracę p. J. Sadowskiego: Drogi handlowe greckie przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeży morza bałtyckiego.

— Pan E. Trautsolt co do właściwego nazwiska słynnego popularyzatora zdobyczy naukowych Juljusza Verne, wystosował do *Gazety Warszawskiej* pismo następujące: „W jednym z czerwcowych numerów *Gazety Warszawskiej* wyczytałem wzmiankę o sławnym Juljuszu Verne. Zebrawszy wszystkie wiadomości o nim, zamieszczone w gazecie, zamierzyłem sprawdzić takowe na miejscu w Płocku. W tym celu udałem się do archiwum gimnazjum miejscowego, lecz przewertowawszy księgi zapisowe od roku 1825 do 1848, nazwiska Olszewicz nie znalazłem. Nie zrażając się pierwszem niepowodzeniem, starałem się wpaść na ślad familji Olszewiczów lub od ludzi starych zasięgnąć jakiejbądź wiadomości o człowieku noszącym to nazwisko. Jakoż w istocie dowiedziałem się, że w Płocku mieszka starozakonny nazwiskiem Olszewiec, który ma brata od lat przeszło trzydziestu zamieszkałego za granicą. Kierując się podobieństwem nazwisk, poszedłem do wyżej wspomnionego Olszewieca i zasięgnąłem od niego wiadomości o bracie, która mniej więcej zgadza się ze wzmianką o Juljuszu Verne, zamieszczoną w *Gazecie Warszawskiej*. Juljusz Verne urodził się w Płocku i w młodym wieku utraciwszy rodziców, pomagał braciom w prowadzeniu rachunków przy sprzedaży drzewa opałowego, tudzież palów i desek do Gdańska. W roku 1843, mając lat ośmnaście, wyjechał do Gdańska w zamiarze znalezienia miejsca w którymkolwiek domu handlowym. Przebywszy tam niespełna rok jeden, napisał do braci, że w krótkim czasie wyjeżdża do Anglji, prosząc ich o przysłanie zapomogi na drogę. Lecz zamiast do Angiji pojechał do Halli i tam zapisał się w poczet studentów medycyny. Prawdopodobnie jednak medycyna nie przypadła do upodobania młodemu Olszewiecowi, gdyż przeszedłszy dwa kursa, na których snać bliżej się zapoznał z popularyzowanemi dziś przez niego naukami przyrodniczemi, porzucił studja lekarskie i udał się do Paryża. Tam w krótkim czasie dostał miejsce w ministerstwie Walewskiego; następnie zaś pracował w sądzie najwyższym jako tłumacz języka niemieckiego. Od tego czasu przerywa się korespondencja Olszewieca i tylko od osób postronnych dowiedzieli się jego bracia, że przemienił nazwisko Olszewiec na Verne i poświęcił się wyłącznie piśmiennictwu francuskiemu. Innych pomniejszych szczegółów, ściągających się do jego osoby, można zasięgnąć u brata jego, Izydora Olszewieca, zamieszkałego w Warszawie na Nowolipiu pod l. 2418.“

Podróże.

— Od Stanley'a i towarzyszów jego podróży w głębi Afryki podjętej, kosztem redakcji dwóch pism: londyńskiego „Daily — Telegraph“ i nowojorskiego Herald'a nadchodzą teraz dość często listy do Europy i Ameryki. Z listów tych pokazuje się, że wyprawa potrwa przynajmniej do połowy roku przyszłego. W jednym liście czytamy, że pieniądze nie nie mają żadnej wartości w głębi Afryki. Wszystko tam nadzwyczaj tanie, ale za wszystko trzeba płacić albo paciorkami naszyjkowemi, albo tkaniną jaką, albo muszlami. Krajowcy w Unganda, gdzie podróżnicy byli w początkach r. b. nie wiedzą wcale, co to znaczy praca. Nic nie robią całe życie, tylko leżą bezczynnie na ziemi lub włóczą się z kąta w kąt. O odzież nie troszczą się zgoła, ale za to każdy ma jakąś broń przy sobie. Często też zgromadzają się nocami do koła wielkiego rozpalonego ogniska. W kraju Ungoro podróżnicy mieli do przebycia wiele trudów. Przez 16 dni wędrowali bez ustanku, codzień od drugiej rano do zachodu słońca, pomimo głodu, pragnienia i zmęczenia. Krajowcy przypominali sobie dobrze Speke'a, który 15 tat temu podróżował także po Ungoro. Król Karagwa mówił o nim jak najpochlebniej. Upały dokuczały Stanley'owi głównie w Usamberon, gdzie bawił w kwietniu. Noce jednak były w tym czasie zupełnie zimne. Przez kilka dni podróżnicy błądzili po pas w wodzie i trzęsawiskach. Na noc murzyni słali mi niekiedy łoża z trawy. Za pokarm, jeśli nie było bananów, wszyscy używali suchngo grochu. W ogóle, powiada jeden z listów, członkowie wyprawy europejskiej żyją tu gorzej od trzody chlewnej w Anglji. Lecz muszą poprzestawać na tem, bo nic innego nie ma. Niektóre plemiona murzyńskie uważają białych za pewien rodzaj osobliwych bydląt; inne znowu okazują im uszanowanie.

Wystawa paryska w r. 1878.

— „Figaro“ podaje z urzędowych źródeł pobieżny plan pałacu, w którym umieszczoną zostanie wystawa r. 1878. Gmach będzie formy elipsy, ponieważ linja krzywa okazała się niepraktyczną w ulokowaniu i wprowadzaniu w ruch maszyn, ale będzie zbudowany w kształcie wielkiego prostokąta, którego krótsze boki będą zwrócone do Ecole Militaire i Sekwany, a dłuższe do La Bourdonnaye i Suffera; są to jak wiadomo cztery boki pola Marsowego. Wewnątrz cała wschodnia połowa przeznaczoną jest dla Francji, zachodnia zaś dla granicy. Pałac będzie wzniesiony tuż obok Ecole Militaire, a przed nim będzie się wznosić park 10,000 metrów rozległości, mający cel osobliwy. Cudzoziemskie budynki, kioski, bazary, dworzec itd. zostaną ztamtąd wykluczone, a natomiast miłośnik natury znajdzie tam najpiękniejsze wzory nowoczesnego ogrodnictwa i ptaki ze wszystkich stref. Również wykluczone są z pałacu kawiarnie, restauracje itp. będą one zbudowane obok parku, który malowniczo okalać będą zasłaniając prozaiczne fronty domów mieszkalnych. Na polu Marsowem nie będzie też żadnego teatru, co byłoby zbytecznem wobec takiej ilości teatrów w Paryżu; natomiast na Trocadero wybudowaną będzie obszerna sala na kolosalne koncerta i podobne produkcje. Olbrzymi wodospad spadać będzie z pagórka do Sekwany, a obok niego znajdować się będą latarnie morskie, obserwatorja i akwarja. — Wystawa sztuk pięknych umieszczoną będzie wzdłuż środkowej galerji pałacu; i w tym oddziale połowę miejsca przeznaczono dla Francji. Koszta budowli obliczono na 11,783,022 fr. 93 cent.

Gospodarstwo.

— Dyrektor paryskiego obserwatorjum astronomicznego p. Le Verrier, uorganizował „Biuro ostrzeżeń“ dla rolników i ogrodników. Ponieważ te ostrzeżenia, zapowiadające wiadomości względem bliskich zmian w stanie atmosfery, mogą być niezmiernie ważnemi w swoich następstwach dla przedsiębiorców rozmaitych eksploatacyj rolniczych i ogrodniczych, przeto porozumiano się z głównym zarządem linij telegraficznych w przedmiocie rozsyłania tych wiadomości z jak największym pośpiechem. Prefekci departamentów, których główne bogactwo stanowi uprawa winnic i rozmaitych płodów ziemi, otrzymali zawiadomienie, że w mowie będące rezultaty postrzeżeń meteorologicznych będą im przesyłane, i polecenie, aby je od siebie natychmiast komunikowali interesowanym przedsiębiorcom.

Szkolnictwo.

— W szkole politechnicznej ryskiej pod czasu roku szkolnego 1875—1876 było 192 uczniów Polaków na 433 wszystkiej młodzieży. Zakład ten dzieli się na siedm wydziałów: rolniczy, chemiczno-techniczny, mierniczy, inżynierski, mechaniczny, budowniczy i handlowy. Opłata wpisowa wynosi 120 rs. rocznie.

Dżuma.

— Z Persji donoszą, iż dżuma straszna, grasująca tamże od dłuższego czasu, wygasa stopniowo. W Delhi pojawiały się na początku sierpnia b. r. wypadki sporadyczne, zresztą nigdzie, skutkiem czego zaniechano już istniejącej dotąd kwerantanny.

— W Marri, w Indjach wschodnich, wybuchła cholera gwałtowna tak pomiędzy krajowcami jak Europejczykami. Ogromną szczególnie liczbę ofiar zabrała z szeregów wojsk angielskich.

Odkrycie.

— Profesor Peters, w Clinton (Ameryka północna) odkrył ostatniemi czasy 165 planetę pomiędzy Marsem a Jowiszem. Za skazówkę Petersa odkryto ją i obserwowano także w Europie.

Nekrologja.

† Paulin Święcicki znany z prac literackich pod pseudonymem Stachurski, zmarł dnia 12. września rb. Święcicki urodził się w Warszycy pow. Machnowieckiego, gubernji Kijowskiej, w roku 1841. Początkowe nauki pobierał w domu, w młodym bardzo wieku wszedł jako uczeń gimnazjum w Kamieńcu do szkół publicznych, zkąd dla ukończenia studjów przybył do uniwersytetu Kijowskiego. Prócz obowiązkowych nauk oddawał się z zamiłowaniem językom słowiańskim i badał zwyczaje i obyczaje ludu wiejskiego. Rok 1863 w Kijowie pociągnął większą część młodzieży. Święcicki przyjął żywy udział w organizacji, a po upadku powstania w tych prowincjach musiał uchodzić do Galicji. Tu w pracy nie ustawał i z zasobów zebranych korzystając, wydał w ciągu kilku lat wiele powieści i szkiców, z których wymieniamy: „Przed laty,“ „Trójka,“ „Opowieści stepowe,“ „Wycieczka do Pionin,“ „Moskal,“ „Sołowijówka“ i wiele mniejszych. Od r. 1867 do 1869 redagował pismo literackie „Nowiny,“ a w ciągu tego czasu wydał kilka rozpraw lingwistycznych i szkiców powieściowych w narzeczu ludowem ukraińskiem. W latach ostatnich był współpracownikiem naszego pisma i „Dziennika Polskiego.“ Po mozolnej pracy, gdyż mimo studjów uniwersyteckich musiał zdawać powtórnie egzamina, został suplentem najprzód w gimnazjum, później w szkole realnej wyższej. W pracy tej uległ chorobie piersiowej, a wobec niedostatecznego wynagrodzenia nie mógł zapewnić sobie wygód potrzebnych choremu. Długo przedtem nosił się z myślą stworzenia całego szeregu obrazów historycznych z dziejów ojczystych Polski, Rusi i Litwy, ale mimo gotowych niemal planów i szkiców, zachęcony dopiero przez przyjaciół, wykończył trzy dramaty. Pierwszy z nich „Posadnica Marta“ ubiegał się o nagrodę konkursową w Krakowie w roku 1875. Drugi „Swiętosław Igorowicz“ został zalecony do grania przez komisję konkursową w Warszawie w r. b. Prócz wymienionych znajduje się w tece po ś. p. Święcickim trzeci utwor dramatyczny, którego tytułu jednak nie wymieniamy, ponieważ było życzeniem nieboszczyka, ażeby wdowa odesłała utwor ten na konkurs do Poznania. Zmarły w sile wieku, gdyż w 35. roku życia, uległ w istocie w skutek pracy nad siły. Był to charakter prawy i prawdę nadewszystko miłujący, choć niekiedy narażał sobie za to ludzi. Cześć jego pamięci!

ROZMAITOŚCI.

— W życiu młodzieńczem Gustawa Adolfa, króla szwedzkiego, odgrywa ważną rolę historja miłosna, prawdziwa idylla, pełna skarg i cierpień serdecznych. Jakkolwiek już w młodym wieku zasiadł na tronie ojców swoich (w r. 1611 mając zaledwie lat 17), nie było mu jednak dozwolonem, postawić obok siebie wybrankę serca własnego, i z boleścią niewysłowioną musiał na ostatek zrzec się na zawsze posiadania pięknej dziewicy, którą tak ochoczo byłby wziął na dozgonną towarzyszkę w życiu. Piękna kochanka młodego króla dziś jeszcze znaną jest ogólnie w Szwecji, a poeci i malarze usiłowali niejednokrotnie uwiekopomnić imię i postać ślicznej Ebby Brahe. Jedynaczka podczaszego koronnego, hrabiego Magnusa Brahe, utraciła w młodzintkim wieku matkę; królowa Krystyna, matka Gustawa Adolfa, wzięła sierotkę pod opiekę, a gdy dziewczę dobiegło szesnastu lat, wprowadziła ją na dwór w Sztokholmie. Tutaj śliczna dziewica zjednała sobie w krótkim czasie, tak swą powierzchownością powabną, jak dziwną dobrocią serca i łagodnością, sympatje wszystkich, a młody król, 18 letni Gustaw Adolf, zapałał ku niej taką miłością, że postanowił wziąć ją za małżonkę, i na jej skronie piękne włożyć koronę królowej. Ponieważ i Ebby serce nie było obojętnem dla rycerskiego króla, przeciwnie żywiło dlań uczucie tak gorące, jakie tylko zrodzić się może w piersi szesnastoletniej dziewicy, przeto związek dozgonny tych serc dwojga zdawał się prawie pewnym, i byłby niechybnie nastąpił, gdyby nie wmięszanie się w chwili stanowczej królowej matki, osoby równie przezornej jak roztropnej i energicznej. Rozumna Krystyna wiedziała aż nadto dobrze, że królestwu syna, zagrożonemu z wielu stron, stokroć bardziej potrzeba spokrewnienia z jakim znakomitym i potężnym domem panującym, niżeli z rodziną poddanego hrabiego; to też starała się wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami rozerwać kochanków, i Ebbie niejednokrotnie dała do poznania niechęć i niełaskę swoją. Po bolesnych walkach z uczuciem, dziewczę uległo konieczności, i roniąc łzy gorzkie, napisała list do młodego króla, ażeby stanowczo porzucił myśl połączenia się z nią węzłem małżeńskim. Atoli Gustaw Adolf domyślił się natychmiast, kto właściwym był motorem tego listu, i wcale nie myślał zrzec się przedmiotu swej miłości pierwszej, przeciwnie rozgorzał ku niemu tem większą namiętnością. Wyraz tego wymowny znajduje się w liście jego napisanym do Ebby, a przechowanym po dzisiejsze czasy. „Najdroższa moja pani — pisał. — W imię tej miłości wiernej, którą żywiłem i żywię dla ciebie, błagam, nie każ mi więcej czytać lub słyszeć z ust twoich te okrutne słowa, bym się miał wyrzec Ciebie i nie myśleć już o Tobie. Przeciwnie sądzę, że uzbrojeni w wytrwałość, ową ozdobę prawdziwego uczucia, powinniśmy dalej wyczekiwać spełnienia życzeń naszych, a spodziewam się, że wiernością wzajemną złamiemy w końcu wrogie nam przekonanie królowej.“ Znowu więc nastał dla obojga czas słodkich marzeń i nadziei, tem bardziej, gdy Krystyna zdawała się nawet pozornie nakłaniać ku zamysłom kochanków, i jeno przewleczenia związku wymagała. Atoli tymczasem po kryjomu nie zaniedbywała wszelkich możliwych środków, byle dopiąć celu i rozdzielić kochanków. Po kilku latach udało się to jej rzeczywiście, szczególnie dzięki pomocy Axela Oxenstjerny, później sławnego kanclerza, który po licznych próbach potrafił nareszcie przekonać króla, iż wyższe, państwowe cele wymagają nieodzownie ofiary z jego uczuć dla Ebby, a połączenia z Marją Eleonorą, księżniczką brandeburgską. Gdy wieść o tej zmianie w zamysłach kochanka doszła do uszu zawiedzionej Ebby, sroga boleść o mało nie pozbawiła jej życia. Czas swoim zwyczajem zagoił rany serdeczne, i Ebba ofiarowała w następstwie swą rękę hrabiemu Jakóbowi de la Gardie. Bogaty pierścień zaręczający, wysadzany djamentami i rubinami, który Ebba miała od Gustawa, znajduje się w skarbcu królewskim w Sztokholmie; pierścionek Ebby darowany Gustawowi pokazują jeszcze dziś w katedrze w Upsala.

— Książę Argyle, który jak wiadomo uczestniczył w rokoszu przeciw królowi Karolowi, i został za to na śmierć skazany, siedział w więzieniu na zamku Edynburgskim, oczekując dnia, kiedy zawołają go na rusztowanie. W Anglji istnieje prastary zwyczaj, iż wyrok śmierci nieodwołalnie na oznaczonym dniu i godzinie spełnionym być musi, i jeśli ułaskawienie królewskie nie zdąży dość wcześnie, nie może być użyczoną skazańcowi ani chwila zwłoki. Zdarzało się też nieraz, zwłaszcza w czasach, gdy druty telegraficzne nie były jeszcze środkiem komunikacyjnym, iż skazany stracony został choć posłaniec królewski wiózł mu ułaskawienie, i jeno nie zdążył na czas potrzebny, wypadkiem jakim lub czem innem zatrzymany w drodze. Król Karol, nie mając sam ochoty ułaskawić Argyle'a, a zmuszony do tego wpływami potężnej rodziny skazańca, zwlókł z rozmysłu wysłanie amnestji, aż do chwili, gdy zaledwie cztery doby dzieliły od godziny stracenia księcia. „W przeciągu 4 dób — myślał sobie król — żaden posłaniec nie zdąży z Londynu do Edynburga, oddalonego o 410 mil angielskich, Argyle straci głowę, a odpowiedzialność nie będzie na mnie ciężyła...“ Tymczasem znalazł się w Londynie laufer więzionego księcia, Szkot z plemienia Mac Leans'ów, poddany Argyle'ów i przywiązany niezmiernie do swojego pana, który z radością podjął się zadania, by zanieść do Edynburga szczęśliwą dla więźnia wiadomość. Znając wszystkie góry i drogi, niemal ścieżki w swojej ojczyźnie, ruszył znacznie bliższą drogą, niżeli ta która była bitym traktem. W całej podróży nie spoczął ani chwili, pożywieniem jego była odrobina zimnego mięsa, napojem trochę wina i octu, które niósł w pęcherzach. Biegł bezustannie przez 85 godzin, i w tym czasie uszedł 100 mil niemieckich. Na kwadrans przed wyprowadzeniem Argyle'a na rusztowanie, zdążył szczęśliwie na zamek Edynburgski. Teraz dopiero okazało się, że nie jakaś nadludzka siła fizyczna dozwoliła wytrzymać takie natężenie jego organizmowi, ale siła moralna, płynąca z przekonania, iż w rękach jego spoczywało życie ukochanego pana. Skoro bowiem stanął przed komisarzem królewskim i wręczył mu akt łaski, runął na ziemię i zaniemógł tak ciężko, iż w następstwie, skutkiem nieuniknionej amputacji, stracił obie nogi. Argyle umiał ocenić poświęcenie jego, i kaleka szanowany powszechnie umarł w dostatkach i poważaniu 90kilkoletnim starcem.

— W bibljotece Heidelbergskiej znajduje się stary rękopis z r. 1487 niejakiego Antonia Agapidy, w którym tenże opowiada, iż gdy podczas oblężenia twierdzy Alhama w r. 1484, hrabia Tendilla nie miał już pieniędzy na wypłacanie żołdu, a żołnierze najęci coraz to bardziej niezadowolenie okazywać poczynali, tenże począł im wypłacać kartkami zaopatrzonemi w jego podpis a opiewającemi na należną każdemu sumę pieniędzy. Równocześnie wydał rozkaz okolicznej ludności, by przyjmowała bez wahania te pieniądze papierowe, on zaś ręczy „rycerskiem i chrześcijańskiem“ słowem, że je wykupi później monetą kruszcową; gdyby się zaś kto opierał i nie chciał przyjąć asygnat, podlegał surowej karze cielesnej. Nowo tym sposobem powstałe pieniądze poszły rychło w obieg, a Agapida zapewnia w końcu, że hrabia dotrzymał słowa „uczciwie i po chrześcijańsku“ ściągając z wolna z kursu te papierki, prototypy dzisiejszych banknotów naszych. Nasamprzód kupcy pomiędzy sobą poszli za przykładem Tendilli, następnie rządy adoptowały wygodny sposób, a twórcy jego pewnie ani marzyło się, że w kilkaset lat kula ziemska formalnie zalaną będzie na wzór jego asygnat sporządzonemi pieniądzmi.

— Feniks jest, jak wiadomo, mitycznym ptakiem egipskich czasów starożytnych. Przedstawiano go sobie w wielkości dużego orła, częścią o czerwonem a częścią złocistem opierzeniu, z wspaniałym pioropuszem na głowie, i z oczyma jak gwiazdy świecącemi. Podanie między mieszkańcami Heliopolis'u mówiło, iż ptak ten przylatywał do Egiptu co 500 lat z Arabji. Pliniusz zaś opowiada w drugim rozdziale dziesiątej księgi swej historji naturalnej że feniks, gdy się postarzał, budował sobie gniazdo z gałązek wonnego drzewa, wypełniał je balsamicznemi roślinami, a potem podpalał i ginął dobrowolnie w płomieniach. Z popiołów jego wylęgał się mały robaczek, a ten, gdy go słońce dostatecznie ogrzało, przekształcał się na młodego feniksa. Podług Owidiusza, ptak ten żywił się tylko wonnemi korzeniami, a Claudian i Oktawiusz twierdzą znowu, iż rosa była jedynem jego pożywieniem. Do Rzymu przyniósł tę bajkę Manilius, i od owego czasu uchodziła u ogółu całego za prawdę rzetelną. Ślad tego napotykamy nawet znacznie później, bo oto między innymi, sam papież Klemens, pisząc do Koryntjan stawia im feniksa jako przykład, mający dowieść zmartwychpowstania ludzi. Klasyczne dzieła starożytnych opowiadają, że feniks pojawił się był jeno cztery razy: najpierw pod Sesostrysem, następnie pod Amasisem pod Ptolemeuszem III — a podług Tacyta, w końcu pod Tyberjuszem. Który właściwie ptak dał impuls do bajek powyższych, nie zdołano odgadnąć dotychczas.

—Szwecja jest krajem, gdzie od najdawniejszych czasów, prawdopodobnie skutkiem ostrego klimatu, gorące napoje trzymają prym przed wodą. Że atoli dawnemi czasy niechęć do wody posuwano tam do tego stopnia, iż używanie jej zabronionem było, o tem zapewne nie jeden z naszych czytelników nie wie a nawet może nie uwierzy łacno. A jednak tak było w istocie. Oto w 17 wieku, niewiadomo z jakiej przyczyny osobliwej, uważano na dworze szwedzkim ze ciężki występek przeciw etykiecie i godności, jeśliby która z księżniczek poważyła się napić wody. Piwo tylko i wino, miasto wody, mogące lub nie mogąc, pić musiały. Biedna maleńka królowa Krystyna (po śmierci ojca została w 6 roku życia królową obwołana) nienawidziła dozwolonych napojów, a ginęła prawie za wodą, i skutkiem tego wycierpiała wiele przykrości. Woda była jej najsurowiej wzbronioną, i nieraz cierpiała najdotkliwsze pragnienie, a nie miała i nie mogła je czem ugasić. Sama opowiadała o tem w swoich pamiętnikach następującemi słowy: „Wspominałam już że miałam wrodzony jakiś wstręt do piwa i wina, a tylko najstraszniejsze pragnienie było w stanie zmusić mnie do użycia tych napojów nieznośnych. Niechęć ta powiększyła się u mnie z latami. Wzrosła była tak dalece, żem całe dni nie brała w usta żadnego napoju, skutkiem czego cierpiałam męki Tantala. Że potrzeba jest matką wynalazków, więc odkryłam szczęśliwie razu pewnego, że królowa (matka) miała obfity zapas zebranej rosy, której używała do obmywania twarzy, by wyglądać młodziej i przystojniej. Ułożyłam sobie korzystać z odkrycia, i w istocie, co dzień po południu, chodziłam w tajemnicy do tego pokoju, gdzie piłam rosy do syta, a jakiś czas to robiłam tak szczęśliwie, że nikt nie spostrzegł mojej sprawki. Atoli razu pewnego matka zauważała przypadkowo ubytek wody, i zaczęła srogo wyrzucać damom dworu, iż dopnściły się takiego występku. One jednak zaprzeczyły uroczyście, mówiąc, że nie byłyby przecie na tyle nierozsądnemi, by odważyły się używać wody a nadto takiej, która potrzebna jest królowej! Odtąd obawiałam się zasadzki na właściwego sprawcę, i obawy moje wnet się spełniły. Sama matka zchwyciła mnie na gorącym uczynku, i ukarała dość srogo, bo aż rózgą! Na usprawiedliwienie oznajmiłam jej z płaczem, że chyba skonam z pragnienia, bo piwa i wina żadną miarą znieść nie mogę.“

Od Redakcji.

A. S. we Lwowie. Wiersz przysłany drukowanym nie będzie.

W. W. w Stanisławowie. Pierwsze przyrzeczenie nasze obowiązuje nas do tej chwili.

P. M. w Czerniowcach. Przysłane poezje nie mogą znaleźć pomieszczenia w naszem piśmie.

Ch. w M. Otrzymaliśmy manuskrypt a po przeczytaniu odpowiemy.

M. w K. Omyłka została sprostowaną.

Mi. Ba. w Krakowie. Czynimy zadość żądaniu, prosimy jednak o pamięć.

Treść Nr. 3.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).